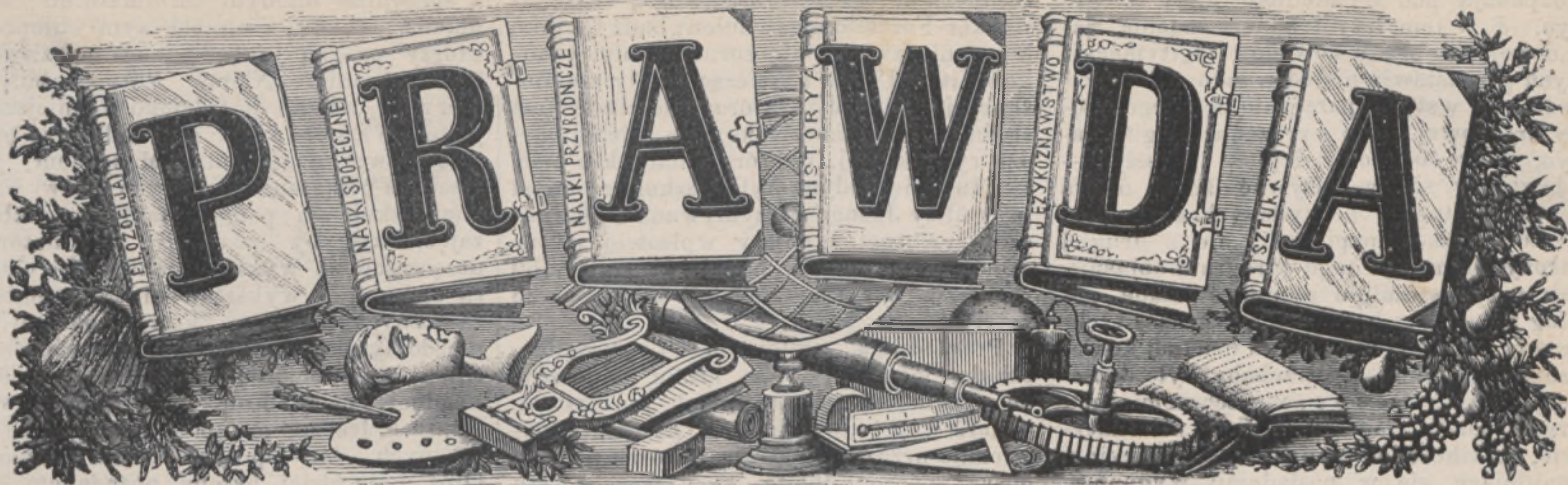
№ 32. Warszawa, dnia 8 Sierpnia (27 Lipca) 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

MAJAKI.

Kilku polaków, przepędzających letnie miesiące za granicą, pojechało do Zagrzebia, odwiedziło bana i wzięło udział w uczcie, z powodu ich pobytu wyprawionej. Z wyjątkiem jednego, podróżnicy ci nie utrzymują ściślejszych stosunków ani z chorwatami, ani z żadnym innym ludem słowiańskim. Znaleźli się w Zagrzebiu, którego nie znali; ale gdyby ktoś przedtem namówił ich do zwiedzenia Pesztu, pojechaliby do Pesztu. Niewinna ta, prawdopodobnie bez żadnego poważniejszego zamiaru przedsięwzięta wycieczka tak zaniepokoiła niemców, jak gdyby owi skromni turyści zawierali w Zagrzebiu odporne lub zaczepne przeciwko nim przymierze. Czytając telegramy i korespondencye gazet wiedeńskich, nieświadomi rzeczy mogliby przypuszczać, że gdzieś tam w kącie Słowiańszczyzny południowej wynurzył się sławny wąż morski — „polska intryga." Alarm, bijącej w swe bębenki głupiej złości, usprawiedliwiałby się dostatecznie letnią porą, w której brak wypadków donioślejszych zmusza prasę do rozdymania drobnych, gdyby inne objawy nie pouczały, że jest on odgłosem stałego i — przyznajmy — uzasadnionego wstrętu niemców do wszelkich międzynarodowych spojeń słowiańskich. Wyrośli oni bowiem, żyją dotąd i tuczą się rozbratem i niezgodą w tej rodzinie ludów — drżą więc przed myślą o chwili, kiedy wraz z „divide" skończyłoby się „impera," kiedy niezmordowanie siane przez nich waśnie przestałyby wschodzić i dojrzewać w obfite dla nich plony. Stąd dręczące sny, stąd upiory, stąd straszne widziadła, stąd wreszcie odpędzająca je złość i oszczerstwa.

A jednak, niestety, wszystkie te bolesne dreszcze niemieckie, wszystkie majaki są dotychczas zbyteczne. Słowiańszczyzna się nie łączy, a więc niemcom nie zagraża. Wzajemne odwiedzanie się jej dzieci, serdeczne toasty i uściski nie wyprowadzą „braci" ze sfery idealnych ślubów i co najwyżej zawiążą pasmo stosunków jednostkowych, na czem zyska nieco poczta, rozwożąca listy i książki oraz literatura, bogacąca się przekładami. W zasadzie wszakże Niemcy mają słuszność, tępiąc nawet zarodki sojuszów słowiańskich, Słowiańszczyzna bowiem jest dziś w świecie jedyną potęgą, która może powstrzymać rozwój germanizmu, potęgą tem straszniejszą, że nieznaną. Nikt nie umie ocenić jej rozmiarów, jej zasobów, każdy tylko wie, że jest to drzemiący i skrępowany olbrzym, po którym łażą swobodnie liliputy. Co by się z nimi stało, gdyby ten olbrzym obudził się, wstrząsnął i swobodny maczugę chwycił — trudno powiedzieć. Niemcy to czują, pomimo upijania się od lat 20 sławą zwycięstw orężnych. Ileż też oni naszczepili już nienawiści między narodami słowiańskimi, ile razy rzucili jeden na drugi, ile wytoczyli z siebie kłamstw, oszczerstw, obwinień! A nikt nie zaprzeczy, że ta niecna robota udaje im się od wieków. Dzięki im w rodzinie słowiańskiej słychać ciągłe zgrzytanie zębami, ciągłe kłótnie i bójki, ciągłe szepty nieufności. I tak trwać będzie jeszcze długo, bardzo długo, jeżeli wogóle słoń, zalegający swem kolosalnem ciałem południowo-wschód Europy, nie będzie rozszarpany przez germańskie wilki. Bo czy Słowiańszczyzna kiedykolwiek dojdzie do świadomości swych sił, czy się zjednoczy—to jest jeszcze pytanie.

Niemieckie ogary, biegnąc za tropem kilku turystów polskich, jadących do Zagrzebia, gotowe już teraz oszczekać światu, że to są właśnie owi budziciele drzemiącego olbrzyma. Wytrzeszczone trwożliwie oczy widzą dyabła na ścianie w cieniu, padającym od ludzkiej postaci. Bo jakże, polacy, którzy przecież jeździli zwykle do Paryża, Londynu, Rzymu lub sławnych miejsc kąpielowych, ni stąd ni zowąd znajdują się w Zagrzebiu. Po co w Zagrzebiu, niemającym nawet żadnej porządnej śpiewaczki? Nurki! Zatonęli w Polsce i wypłynęli w Chorwacyi — z torpedą na niemieckie okręty. Baczność— Bronisław Grabowski z Janem Grzegorzewskim mają w kielichach toastowych dynamit, do wysadzenia w powietrze Germanii a języki płoną im jak lonty! *N. Fr. Presse* uczuwa zgrozę, bo któżby ją, starą ladacznicę po takim wybuchu utrzymywał!

NIESPODZIEWANA TAMA.

„Prawidłowy bieg" sprawiedliwości pruskiej zakończył się: wydalanie polaków napotkało przeszkodę. Oto jak ją określa prezes regencyi szląskiej:

„Umyślnie wydelegowana komisya stwierdziła, że usunięcie rosyjsko - polskich poddanych z obrębu państwa pruskiego nie jest należycie wykonywanem w tutejszych okręgach, pomimo wydanych w tym względzie odnośnych przepisów pod datą 14 kwietnia b. m. Przedstawiają się jednak okoliczności łagodzące, a mianowicie wzgląd na konwencyę z rządem Cesarsko-Rosyjskim z dnia 19 sierpnia 1872 r., mocą której winniśmy się porozumieć z władzami pogranicznemi co do transportu wychodźców przez granicę i otrzymać na to zezwolenie. W ugodzie tej między dwoma państwami mowa jest jedynie o wydaleniu takich tylko poddanych, którzy na uzasadnionych zarzutach mogą być usunięci, a mianowicie: z powodu braku utrzymania, włóczęgostwa lub niemożności wylegitymowania się co do samej osoby. W myśl postanowienia z dnia 14 kwietnia wielka liczba poddanych rosyjskich ma być wydaloną, chociaż nie wszyscy

podpadają pod wymienione niżej kategorye. I w tem leży trudność zadania. Samo pojęcie braku dowodów legitymacyjnych przedstawia niejeden szkopuł. Wprawdzie na wstępie paragrafu drugiego ugody urzędowej użyte wyrażenie: „legitymacye, które od roku dopiero wyszły“ — zdawałoby się wskazywać, że tu mowa o paszportach i o wydanych na powien przeciąg czasu papierach, ale z drugiej strony brzmienie tego paragrafu objaśnia, jak przypuszczalnie rozumieć zasadę, podług której ma być uznaną ważność tychże dowodów. W wypadku uznanej konieczności wydalenia, potrzebaby było dopiero porozumiewać się z zwierzchniemi i pogranicznemi władzami. W tej alternatywie, jakikolwiek dowód legitymacyjny, znajdujący się w posiadaniu wygnańca, np. metryka, stwierdzająca niewątpliwie miejsce jego urodzenia, będzie dowodem wystarczającym. Uprości to zarazem zadanie. po przeprowadzeniu bowiem odnośnej korespondencyi, rozporządzenie na razie w czyn będzie mogło być wprowadzone. Gdyby w następstwie władze rosyjskie sprzeciwiały się przyjmowaniu wychodźców, należy im w sposób tu wyłożony rzecz całą przedstawić.“

Skądinąd dowiadujemy się, że władze rosyjskie istotnie powstrzymały to wypychanie za drzwi kraju byłych swoich poddanych, które skutkiem tego musiało zwolnieć. Nie obiecuje to wszakże wygnanym żadnej ulgi. Jeśli prusacy znajdą tę granicę zamkniętą, to sobie otworzą inną, a w potrzebie wsadzą 30,000 nieszczęśliwych banitów na okręty i jak balast wyrzucą na brzegach Afryki lub Australii.

SZKOŁA RZEMIOSŁ.

Wspomnieliśmy w poprzednim nr. *Prawdy*: że p. M. Rudnicki przedstawił Towarzystwu popierania przemysłu i handlu wniosek, w którym żąda zwrócenia uwagi na potrzebę szkół specyalnych dla rzemieślników, a w szczególności przedsiewzięcia odpowiednich środków, które by dozwoliły istniejącej już szkole przy ulicy Jasnej rozwinąć swą działalność pożyteczną szerzej.

Liczne zakłady tego rodzaju istnieją zagranicą: bądź to jako kompletne szkoły rzemiosł (np. niemieckie Gewerbe—i Handwerker-Fortbildungsschulen), bądź też jako kursy niedzielne i wieczorne, szkoły rysunkowe itd. U nas, nie licząc szkoły rzemieślniczej w Łodzi, która właściwie jest średnim zakładem naukowym i lichej bardzo rysunkowej, o której mało kto wie, znajduje się jedyna tylko szkoła rzemiosł przy ulicy Jasnej, utrzymywana z ofiarności prywatnej i opłaty wpisowej od uczniów, rozumie się, bardzo wysokiej (50 rs. rocznie, tylko w oddziale szewctwa 25 rubli).

Prowadzona umiejętnie i starannie, szkoła, jakkolwiek dla braku funduszów uczy tylko trzech rzemiosł: ślusarstwa, stolarstwa i szewctwa, nie posiada odpowiednio urządzonych warsztatów i pobiera dosyć znaczną opłatę—liczy wszakże stu kilkudziesięciu uczniów. Program nauk wykładanych w trzech klasach, z których I i III o dwóch oddziałach (starszy i młodszy) obejmuje naukę religii, języków polskiego, rosyjskiego i niemieckiego, arytmetyki, geometryi, geografii, historyi powszechnej i Rosyi, historyi naturalnej, fizyki, oraz początków mechaniki, rysunków graficznych i ręcznych, kaligrafii i modelowania. Pomimo nieprzyjaznych warunków liczba uczniów wzrasta, co dowodzi jasno potrzeby istnienia tego rodzaju zakładów.

Nie potrzebujemy chyba wykazywać ich doniosłości dla rozwoju przemysłu naszego, nad którym zagraniczny góruje właśnie specyalnem wykształceniem robotnika, szczególniej ważnem zwłaszcza w rękodzielnictwie. Szkoła taka nietylko kształci techniczne zdolności rzemieślnika, nie tylko daje mu wiadomości potrzebne w jego zawodzie, ale jednocześnie rozszerza widnokręg jego pojęć, rozwija jego inteligencyę i tym sposobem pośrednio czyni pracę jego samodzielniejszą i doskonalszą, nie mówiąc już o tem, że podnosi jego poziom umysłowy i moralny. W rzeczach tych zresztą nie ma sporu, wszyscy zgadzają się na jedno, tylko, niestety, pomimo uznania i jednomyślnej zgody nic nie robią a raczej robią bardzo nie wiele.

Słusznie zauważył wnioskodawca, że „tworzenie nowych szkół tego rodzaju, wobec ciężkich warunków, w jakich się znajdujemy, jest niemożliwe,“ ale możliwem a nawet koniecznem jest zreformowanie instytucyi już istniejącej.

Szkoły rzemieślnicze mają dwojakie zadanie: dać pewne wykształcenie ogólne i specyalne młodym terminatorom, oraz ułatwić naukę rzemiosł tym chłopcom, którzy pragną ją nabyć bez uciążliwego terminowania. Niema wątpliwości, że pierwsze zadanie jest daleko ważniejszem. jednakże szkoła nasza musi oddawać pierwszeństwo drugiemu. Możebnem jest wszakże połączenie obu tych celów w jednej szkole za pomocą takiego rozkładu zajęć, któryby pozwolił terminatorom uczęszczać na wykłady nauk. Nie chodzi tu bowiem o wykształcenie w rzemiośle zamożnych nieuków, którzy okazali się niezdolnymi do innych zawodów, ale właśnie o ułatwienie nauki młodzieży biednej i żądnej wiedzy, która już pracuje w warsztatach, lecz nie ma sposobności nabyć ani ogólnych, ani specyalnych wiadomości. Otóż najbardziej byłoby pożądanem rozszerzenie działalności szkoły rzemiosł w tym właśnie kierunku. Dzisiaj wysoka opłata wpisowa czyni ją przystępną tylko dla dzieci zamożnych względnie rodziców, bo trzeba przecież oprócz tego utrzymywać ucznia na swój koszt, albo dla nielicznych wybrańców, którym udało się znaleść miłosiernego dobrodzieja. Nie mam nic i przeciw takiej szkole, owszem, uznaję potrzebę istnienia jej, ale ponieważ jest u nas jedna tylko a o założeniu nowych marzyć nawet nie podobna, należy rozszerzyć zakres jej działalności do możliwych granic, żeby choć w części odpowiedziała różnorodnym i pilnym potrzebom. Nastąpi to jednak wtedy tylko, kiedy poparcie ze strony społeczeństwa pozwoli szkole zniżyć opłaty, pomnożyć i odpowiednio urządzić warsztaty i powiększyć liczbę uczniów. Ale nie dosyć na tem, powinna ona jednocześnie ułatwić terminatorom słuchanie kursu nauk bez obowiązkowych zajęć w warsztatach, bo, jak powiedziałem wyżej, idzie tu nie tyle o wytwarzanie zastępu nowych rzemieślników, ile o ogólne i fachowe wykształcenie tej młodzieży ubogiej, która już wybrała sobie zawód i w nim pracuje.

Wypowiadając te uwagi, nie myślimy bynajmniej obniżać zasług szkoły istniejącej, owszem, uznajemy najzupełniej pożyteczną jej działalność w tych granicach, jakie jej warunki materyalne zakreśliły. Pragniemy tylko, żeby działalność ta rozwijała się i doskonaliła. Dla tego niezbędne jest poparcie materyalne społeczeństwa, a w pierwszym rzędzie bogatych rzemieślników i przemysłowców. P. Rudnicki zapukał do właściwych drzwi; pro-

---

8)

ASPAZYA

DRAMAT W 5 AKTACH

ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO.

(Wł. Okońskiego).

SCENA 4.

Ciż i Kalias, później Kapros.

Kalias.

A co! I on jej dziękuje, i jemu już coś wyświadczyła (*całuje Elpinikę*). Zawsze i dla wszystkich miłosierna.

Elpinika.

Hermipos...

Kalias.

Nie pytam, bo lubisz dobrze czynić w tajemnicy nawet przede mną. Jak się masz, Hermipie — zdrów! Na Parnasie świeże powietrze! (*rozbiera się*). Bodaj wyzdychali!

Hermipos.

Jest to prawdziwe zrządzenie boskie, żeś przybył w porę...

Kalias.

A w porę, bo zrabowawszy fabrykę, prawie wszyscy uciekli i zostawili mi na piasku ślady swoich łap, ażebym wiedział w jakim kierunku ich gonić.

Elpinika.

Eh, Perykles chce na dzisiejszem zgromadzeniu narodu uzyskać obywatelstwo dla synów Aspazyi — otóż potrzeba koniecznie, ażebyś tego nie dopuścił...

Kalias.

Jak to ja mogę nie dopuścić, kiedy moja jedna głowa liczy się przy głosowaniu tylko za jedną głowę!

Hermipos.

Ale wystąpienie tak poważnego męża oddziałałoby na innych.

Kalias.

Ja nie zapomniałem, jak ten poważny mąż oddziałał na innych w sprawie Partenonu. Drugi raz błaźnić się nie myślę dla interesu, który mnie ani grzeje, ani ziębi. Niech Perykles napłodzi całą oborę nieprawych dzieci i porobi je archontami — stękać nie będę. Mam swoje kłopoty, które z karku zwalić muszę. Fabryka stała...

Elpinika.

Ależ Kaliasie, wielu obywateli zależnych od ciebie materyalnie oparłoby się żądaniu Peryklesa. gdybyś poszedł na obrady i objawił swoje zdanie.

Kalias (*do Hermipa*).

A więc idź i oświadcz publicznie, że kto głosować będzie za przyznaniem obywatelstwa synom Peryklesa, temu Kalias nie pożyczy pieniędzy, nie otworzy kredytu, wypowie dług, dokuczy — jak tam Elpinika postanowi.

Elpinika (*całując go*).

Zawsze poczciwy. Ale czemu kochany małżonek nie pójdzie sam?

Kalias.

Nie mogę, duszko, nie mam czasu. Te gałgany narażą mnie na nieobliczone straty, jeżeli dziś jeszcze innych robotników nie znajdę. Wkrótce muszę odstawić dziesięć tysięcy łuków i włóczni do Sparty.

Elpinika.

Sparta zapotrzebowała tyle nowej broni? To mnie cieszy. Niepodobna uchybić terminu. Winnych ukarałeś?

Kalias.

Jak radziłaś: nasi niewolnicy, niezado-

ponuje on bowiem Towarzystwu popierania przemysłu i handlu, żeby samo, lub też wespół z Zarządem Muzeum przemysłowo-rolniczego, zajęło się tą sprawą. Przedewszystkiem słusznie bardzo wnioskodawca żąda, żeby wybrana w tym celu delegacya zajęła się zbadaniem ustawy i dotychczasowej działalności szkoły oraz określiła, co należy przedsięwziąć dla zapewnienia jej pożądanego rozwoju. Jakikolwiek jednak będzie rezultat tych badań, nie ulega wątpliwości, że dla utrwalenia bytu szkoły i postawienia jej na odpowiedniem stanowisku najpotrzebniejsze są ofiary pieniężne, czy to w formie darowizny kapitału, czy to stałych ofiar rocznych lub też stypendyów. Dzisiaj szkołę wspiera szczupłe grono dobroczyńców, na czele których stoi p. L. Natanson. Istnieje jeszcze zapis Rapackiej, wynoszący 15,000 rs., przeznaczony na budowę domu. Suma powyższa nie wystarcza wszakże na ten cel, chociaż dom własny zapewnił by szkole trwałą podstawę istnienia. Dla rozumnej a pożytecznej ofiarności przedstawia się więc bardzo szerokie i wdzięczne pole, na które rzucony posiew daru z pewnością wyda stokrotne plony.

Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu powinno szczerze i gorliwie zająć się tą sprawą, bezwątpienia daleko ważniejszą dla naszego przemysłu i pomyślności ekonomicznej kraju, aniżeli wymyślanie nowych opłat celnych i układanie kwestyonaryuszów, na które nikt odpowiadać nie chce lub nie może, a gdyby ktokolwiek odpowiedział, to również nie na wiele by się przydało.

Sprawa ta leży w zakresie jego atrybucyj, co więcej, jest obowiązkiem obywatelskim. Gdyby Towarzystwo podjęło inicyatywę — to już dosyć, pieniężnie bowiem poprzeć powinni reformę szkoły najprzód ci, którym ona przyniesie także nie mały pożytek — zamożni przemysłowcy. Obok hojności prywatnej znalazłyby się i inne fundusze, chociażby np. ze zwrotu pożyczek bezprocentowych, udzielonych pozbawionym zajęcia rzemieślnikom. Podobno część tego funduszu przeznaczona jest na rzecz kas pożyczkowych, resztę zaś możnaby oddać szkole rzemiosł.

Społeczeństwo nasze dawało niejednokrotnie przykłady ofiarności zbiorowej, która wprawdzie szybko ostyga, ale czasem w pierwszym zapale przyjmuje szerokie bardzo rozmiary. Nie wątpimy, że i w danym razie, kiedy sprawa będzie oświetlona jak należy, znajdą się ludzie dobrej woli, którzy pospieszą z chętnym datkiem. Trzeba tylko miłosierdziu publicznemu dać możność ujawnienia się. Przedsięwzięta poważnie i rozumnie reforma szkoły znajdzie poparcie materyalne, zwłaszcza jeśli dobry przykład zachęci. O podjęcie więc inicyatywy i o dobry przykład teraz idzie.

L.

Z AUSTRYI.

Położenie polityczne. — Tu „środek katolicki," tam „klub niemiecki." — Możliwość przesilenia. — Ugoda z Węgrami. — Czesi w Budapeszcie i uroczystość niemieckich *turnerów* w Dreznie. — Czy sojusz Węgrów z słowianami austryackimi jest możliwym? — *N. F. Presse* o sprawie Matejki. — Ustawa przeciw włóczęgom. — Szczególny znak życia sztuki dramatycznej. — Z wystawy obrazów. — Przekład niemiecki *Dziadów* Mickiewicza.

Stosunki wewnętrznej polityki austryackiej pogorszają się widocznie. Miodowe dnie po nowych wyborach, z których każde stronnictwo i rząd były początkowo zadowolone, minęły szybko i prędko też przyszło wytrzeźwienie, z którego wynikł wręcz przeciwny objaw, mianowicie ogólne niezadowolenie po przedsięwzięciu ścisłego obrachunku sił. Pokazało się bowiem, że prócz Koła czeskiego, które zyskało przyrost dziesięciu głosów, każde inne stronnictwo poniosło straty. Dziwny ten fakt tłomaczy się tem, że na widownię parlamentarną wystąpiły cztery nowe grupy, które w ubiegłym parlamencie albo zupełnie nie były lub też były bardzo słabo reprezentowane. Należą tu: ministeryalni rusini, demokraci, narodowo-niemieccy antisemici i niemieccy konserwatyści. Łatwo zrozumieć, że takie rozdrobnienie się żywiołów nie mogło wzmocnić położenia, lecz powiększyło niepewność i chwiejność stosunków parlamentarnych. Lewica ma swój „klub niemiecki," zagrażający jej rozbiciem, prawica także posiada znowu „katolicki środek," który jeszcze szkodliwiej mógłby oddziałać na większość parlamentarną, a nawet i na stanowisko gabinetu. „Środek katolicki"— to nowy twór niemieckich konserwatystów, pp. Lienbachera i Zallingera, to dziecię zajadłej polemiki, jaka się wywiązała pomiędzy grupą klerykalnych posłów z Tyrolu, oświadczających się stanowczo za utrzymaniem dotychczasowej solidarności prawicy a grupą niemieckich konserwatystów, słowiańskim narodom nieprzyjaznych i kokietujących z lewicą. Tyrolczycy Greuter i Giovanelli z jednej a Lienbacher i Zallinger z drugiej strony stanęli tedy do walki, przybierającej coraz większe wymiary. Pośrodku stanęli obaj książęta Liechtensteinowie, zachowując na razie neutralność. Lienbacher uzasadnia konieczność utworzenia samoistnego „katolickiego środka" tem, że prawica wraz z rządem niema bezwzględnej większości w izbie bez niemieckich konserwatystów, że przeto ci, zorganizowani w osobnym klubie, musieliby się stać bardzo ważnym czynnikiem politycznym, „językiem u wagi," przechylającym szalę na tę lub na tamtą stronę. Nie można odmówić logiki dowodzeniu Lienbachera, a w tem właśnie leży też i fatalność położenia. Widzimy przeto dwa zarodki nowych stronnictw, mianowicie „klub niemiecki" na lewicy i „środek katolicki" na prawicy, które kiedyś z gruntu zmienić mogą istniejące stosunki parlamentarne a nawet, prędzej aniżeli by się tego można spodziewać, sprowadzić ciężkie przesilenie.

Położenie atoli staje się tem przykrzejszem, że odnowienie ugody z Węgrami stoi groźnie przed wrotami. Przy braku stałej większości parlamentarnej przeprowadzenie tej ważnej sprawy stałoby się nie możebnem. Wprawdzie czas jeszcze nie nagli, gdyż termin ostateczny przypada dopiero na koniec 1886. Jednakowoż trudności z powodu chwiejnego położenia występują już teraz przy rozpoczęciu rokowań ugodowych. Zaraz po pierwszym kroku okazało się, że rząd przedlitawski zajął odporne, węgierski zaś zaczepne stanowisko. Węgrzy bowiem wytoczyli cały szereg nowych żądań, zwłaszcza dotyczących układu stosunków handlowo-politycznych wobec państwa niemieckiego i Rumunii. Jako państwo rolnicze usiłują oni zapewnić dla swoich ziemiopłodów i innych wytworów rolnictwa korzystny zbyt za granicę, mianowicie przez utrudnienie konkurencyi rosyjskiej i rumuńskiej i następnie przez zniżenie ceł przywozowych od zboża z Austryi do Niemiec, za co jednakże musi płacić przemysł austryacki, ponieważ w odwet Austro-Wę-

---

woleni z administratora fabryki, dostaną od niego przez trzy dni po pięćdziesiąt prętów moczonych w słonej wodzie; wyzwoleńców i wolnych, którzy uciekli, zaskarżę przed sądem i zmuszę do odrobienia wyrządzonych szkód. Co to za zuchwałe łajdactwo! Wyobraźcie sobie, tuż przy bramie miasta zastępuje mi drogę jeden z nich, oznajmiając, że towarzysze jego wrócą do roboty, jeśli im podwyższę płacę dzienną o czwartą część, gdyż skutkiem nieurodzaju chleb zdrożał. Nie mogłem wytrzymać i tak kułakiem zamknąłem mu gębę, że aż się na ziemi wyciągnął.

Elpinika.

To się nie podoba w kołach arystokratycznych, zwłaszcza, że pobity cię pozwie.

Kalias.

Więc co najwyżej potrąci sobie wartość straconej posoki z kary, na jaką będzie skazany za zniszczenie w fabryce i porzucenie roboty. A będą skazani wszyscy! Całą tę sprawę powierzę Protagorasowi, którego spotkałem na ulicy i który tu przyjdzie. On ich kiszki dla mnie wyprocesuje, gdy zechce; zechce zaś, gdy mu dobrze zapłacę, a zapłacę, żeby chamów ukorzyć i innym dać przestrogę. Wytrawny to gębacz i w takich wypadkach nieoceniony. Zabaw go, kobietko moja, jeśli mnie wyprzedzi, bo muszę koniecznie zaraz pomówić z dostawcą robotników, ażeby mi natychmiast innych najął. Do widzenia. Hermipie, pogróź ode mnie gołym obywatelom (*wychodzi*).

Elpinika (*zamyślona*).

Protagoras przyjdzie... Gdyby tego sofistę można pozyskać... kupić... Byłby on w rękach naszych strasznym... Hermipie mój, spiesz na zgromadzenie narodowe i rozpuść w niem, ale po cichu, groźbę Kaliasa. Trzeźwego, czy pijanego ściągnij mi Ksantypa, syna Peryklesa z pierwszej żony, Tucydydesa również się spodziewam (*z uśmiechem*) no, i ciebie naturalnie. Kalias zapewne dziś jeszcze wyjedzie do fabryki na dni kilka.

Hermipos.

Nie spóźnię się.

Elpinika.

Ale, ale — jeśli cię wiążą jakie stosunki z Polygnotem, to je zerwij. Nie wart ciebie.

Hermipos.

Przypuszczałem (*wychodzi*).

Kapros.

Traks jest.

Elpinika.

Zawołaj go (*Kapros wychodzi*).

SCENA 5.

Elpinika i Traks.

Elpinika.

Mówiłeś do Kaprosa, że chcesz nam być użyteczny.

Traks.

Patrzyłem tylko przez szpary, ale widziałem dużo, nosiłem pisma zaklejone, ale wywąchiwałem, co w nich było.

Elpinika.

Czy przez ciebie Perykles pisywał listy do Plejstonaksa, króla spartańskiego, kiedy ten szedł z wojskiem pod Koroneję?

Traks.

I do Kleandridasa, jego doradcy.

Elpinika.

Były w nich pieniądze?

Traks.

Gdzież by mnie, marnemu niewolnikowi, zaufano tak wielkie sumy! Ktoś inny je zawiózł.

Elpinika.

Kto?

gry obniżą cła przywozowe dla wyrobów przemysłu niemieckiego. Ale na tem nie koniec. Węgry żądają nadto zwrotu podatków za spożywane u nich cukier i piwo austryackie, co obciążyłoby Austryę kontrybucyą 5—6 milionów rocznie. Pomijamy obecnie ich potworny projekt unii celnej z państwem niemieckiem, pozostawiając rzecz tę na później. Co do Galicyi specyalnie, to i ona nie wyszłaby cało przy nowej ugodzie. Węgrzy bowiem domagają się zniżenia cła od przywożonego z Rumunii surowca nafty, czem wyrządzonoby galicyjskiemu przemysłowi naftowemu ogromną szkodę. Bez tego już kilkakrotnie reprezentanci tego przemysłu wnosili do rządu i parlamentu zażalenia na surowiec rumuński, który przerabiają destylarnie węgierskie. Cóż dopiero, gdyby to nizkie cło było jeszcze więcej zniżonem? Przy wielkich ulgach, dawanych przez kolej Północną i Karola Ludwika nafcie kaukazkiej, zaczyna ona wytwarzać niebezpieczne współzawodnictwo galicyjskiej. W Wiedniu zajęła ona już połowę odbytu. Powiększenie tedy współzawodnictwa ze strony Rumunii byłoby dla Galicyi zabójczem. Wreszcie żądają węgrzy ułatwień w przywozie wołów swoich do Wiednia. I na tem więc polu grożą Galicyi.

Odwiedziny 1,500 czechów w Budapeszcie posiadają nie małą polityczną doniosłość, zawiązują bowiem w zbliżaniu się obu narodów nowy i silny węzeł. Czesi szukają już od dłuższego czasu przyjaźni węgrów, szukają ich pomocy dla odpierania nawału niemieckiego, oraz dla utrzymania obecnego systemu politycznego w Austryi. Wysoko oni cenią ten sojusz, który ma swe uzasadnienie, chociaż trudno zaprzeczyć, że zbliżając się do węgrów po za plecami słowaków, serbów i kroatów nie małą czynią ofiarę ze swoich przekonań i wrodzonych sympatyj. Prasa wiedeńska patrzy bardzo krzywem okiem na zaloty czeskie w stolicy madjarskiej, pociesza się jednak tem, że węgrzy nigdy nie będą mieli zaufania do „panslawistycznie myślących" czechów. Czy to tylko prawda? Trzeba bowiem uwzględnić, że obecna polityka czeska nie jest bynajmniej „panslawistyczną" a następnie, że sami niemcy pchają węgrów do przymierza z czechami i słowianami austryackimi. Dziwnem zrządzeniem losu niemieccy *turnerowie* w Dreznie wyrzucili z sali biesiadnej przysłany im na „pozdrowienie" przez delegata węgierskiego wieniec ze wstążkami o barwach narodowo-węgierskich i z napisem węgierskim, jako „znak bezczeszczący uroczysty nastrój święta narodowo-niemieckiego." Ogólne niemieckie stowarzyszenie szkolne, podobne do wiedeńskiego niemieckiego *Schulvereinu* wypowiada wyraźnie, że głównem jego zadaniem jest prowadzenie walki narodowej po za granicami państwa o „prawa języka niemieckiego" przeciwko dziedzicznym jego wrogom — słowianom i węgrom. W Niemczech nie brak i innych objawów gorącej nienawiści przeciwko węgrom, którzy „uciskują kanibalicznie dzielnych sasów w Siedmiogrodzie i innych niemców gęsto osiadłych w Węgrzech." Opinia publiczna przygotowuje też odsiecz dla tych „zagrożonych" dzieci Germanii a dziś już grozi nie dwuznacznie, że „dzień odwetu" jest blizkim. Węgrom nie brak roztropnych polityków, widzących niebezpieczeństwo ze strony silnego narodu, który tak łatwo targa się na obcą własność. Z dwojga złego wybiorą prawdopodobnie mniejsze, tj. słowian austryackich, których wpływ w najgorszym dla nich razie mógłby doprowadzić do sprawiedliwego równouprawnienia słowaków i serbów i do rozszerzenia samorządu Kroacyi, co ostatecznie niczem nie grozi samoistności państwa i da się bardzo dobrze przeprowadzić w ramach węgierskiej idei państwowej.

Odezwa Jana Matejki, czy też jego sekretarza Gorzkowskiego wystosowana do redaktora *Minuty* odbija się silnem echem i o tutejszą prasę. *N. F. Presse* skorzystała ze sposobności, ażeby wylać cały potok żółci, nienawiści i szyderczego urągania na społeczeństwo nasze „kamienujące swoje własne proroki." W tych dniach zamieściła ona artykuł zatytułowany *Matejko, der Abtrunnige*, w którym rzecz tak przedstawia, jakoby wielki mistrz przynoszący niespożytą sławę swojemu narodowi, padł ofiarą politycznego szowinizmu galicyjskiego społeczeństwa, odważywszy się na wypowiedzenie samoistnych zapatrywań, nie harmonizujących z ogólnym prądem, a tem samem wyłamawszy się z pod teroryzmu żelaznej obręczy galicyjskiej opinii publicznej. Przewrotność tego dziennika idzie tak daleko, iż bierze ona rzekomo w obronę Matejkę, ażeby tylko jednym tchem wypowiedzieć najnikczemniejsze brednie polskiemu narodowi, który „uniesiony oportunistycznym prądem chwili zatracił wszelkie wzniosłe uczucia i idealne cnoty w swojem sercu." Dla scharakteryzowania tej napaści, wystarczy przytoczyć twierdzenie, że „obecnie Matejko, Mickiewicz, Słowacki i Goszczyński poszli w kąt a gwiazdami narodu stali się Smolka, Ziemiałkowski i Dunajewski." W zestawieniu podobnem niema ani prawdy ani sensu, bo właśnie Matejko okazał się zbytnim oportunistą.

Wśród „pory ogórkowej" czyhają skwapliwie dzienniki wiedeńskie na każdą sposobność do polemiki, szczególnie jeśli mogą przypiąć jaką łatkę słowianom. Pod tym względem przedstawia mianowicie *Deutsche Zeitung* wymowny okaz, zapełniając codziennie swoje łamy drobnostkowemi wycieczkami przeciw czechom, słoweńcom a w ostatnim rzędzie i polakom, biorąc w obronę rusinów. Nienawiść do słowian zaczyna przybierać w tych organach prasy postać śmieszną, skoro zapełniają one całe stronnice artykułami, dowodzącymi, że np. *deutsches Lied* lub *Wacht am Rhein* jest barankiem niewinności wobec pieśni czeskich *Hej Slovane!* lub *kde domov muj*, albo też, że w Lutomierzycach lub Czeskiej Lipie, które są „urdeutsche Stadte" nie powinno być napisów ulic w języku czeskim, ponieważ to jest zniewagą dla „kulturnego narodu niemieckiego," tak samo jak nie powinien nocny stróż w Kamieniu, który to Kamień jest także „urdeutsch," używać języka czeskiego jako „urzędowego," bo i to jest występkiem wobec kultury (!). Wątpimy bardzo czyli na tej drodze opozycya niemiecka odniesie zwycięstwo nad „niższą" rasą słowiańską.

Reformy społeczno-polityczne, przedsięwzięte z inicyatywy „naszych najserdeczniejszych," niemieckich klerykałów, zaczynają być istotną plagą społeczeństwa. W poprzednich listach oceniliśmy wartość normalnego dnia pracy i święcenia niedzieli, przykrojonych do pojęć socyalno-chrześciańskich. Teraz winniśmy wskazać inną taką reformę, która chwilowo sprawia dużo zamieszania i prześladowań, mianowicie ustawę przeciwko włóczęgom, ustawę w pełnem słowa znaczeniu barbarzyńską, bo podciągającą każdego, chwilowo bez roboty znajdującego się człowieka, który na wezwanie urzędu nie może wykazać środków do życia, pod surowe kary aresztu i narażającą go nadto na sądowe orzeczenie, że jest włóczęgą, i że jako taki podlega przymusowej pracy w domu poprawy lub też wydaleniu. W każdem dużem mieście znajduje się codziennie kilka lub może nawet kilkanaście tysięcy lu

---

Traks.

Nie wiem.

Elpinika.

Od króla perskiego nie przybywali do Aspazyi posłańcy z darami?

Traks.

Nie.

Elpinika.

Przypomnij sobie — tego mi bardzo potrzeba.

Traks.

Jeśli bardzo potrzeba... przypomnę sobie.

Elpinika.

Czy Aspazya prowadzi życie rozpustne i wciąga w nie swoje przyjaciółki?

Traks.

Zapewne.

Elpinika.

Czy widziałoś, jak zrywała oliwki z drzew poświęconych Atenie?

Traks.

Nie pamiętam.

Elpinika.

Wyśmiewała bogów?

Traks.

Zdaje mi się.

Elpinika.

To znaczy, że albo nic nie wiesz albo taisz. Co zeznać możesz?

Traks.

Gdzie?

Elpinika.

Przed sądem.

Traks.

Ciężka robota. Tam niewolników, powołanych do świadczenia, torturują.

Elpinika.

Jeśli powiesz to, czego zażądam, wynagrodzę cię sowicie i ułatwię ci ucieczkę od Peryklesa do Azyi, na okręcie mego męża (*daje mu sakiewkę z pieniędzmi*). Dwie drachmy na zadatek.

Traks.

Dziękuję. A ile jeszcze dostanę za posłańców perskich, za oliwki święte, za miłostki Peryklesa i Aspazyi, za popękaną przy badaniu sądowem skórę?

Elpinika.

Pięć min.

Traks.

Za mało.

Elpinika.

Nie targuj się, gdy zasłużysz, podwoję.

Traks.

A zadatek w tę łaskę się wliczy?

Elpinika.

No, nie, ale już bądź zadowolony.

Traks.

Ja za to bezinteresownie zdradzę pani ważną tajemnicę. Diotima, przyjaciółka Aspazyi, która dziś umarła, namówiła swoich kochanków, ażeby owe koty...

Elpinika.

Bałwan jesteś! O tem już świerszcze cirkać przestały (*słychać śpiew za sceną*). Skryj się i zniknij niedostrzeżony. Na prawo! (*Traks wybiega — wpada Ksantyp*).

SCENA 6.

Elpinika i Ksantyp.

Ksantyp (*lekko pijany — śpiewając*).

Mój papa trzyma kopę żon,
Lecz mężem własnej nie jest on.

dzi szukających pracy—ci wszyscy należą, wedle nowych przepisów, do kategoryi włóczęgów. Sądy wiedeńskie od czasu zaprowadzenia tego drakonizmu, co mniej więcej przed tygodniem nastąpiło, zarzucone są sprawami tej natury, i niemal codziennie w rozmaitych dzielnicach miasta staje przed kratkami sądowemi kilkudziesięciu „włóczęgów,“ których jednakże sędziowie z miłosierdzia, dotychczas zawsze uwalniali od oskarżenia. Procesy wykazały właśnie okrucieństwo owej ustawy najdobitniej, i zarazem też niemożliwość zastosowania jej w praktyce. Zdaje się, że ulegnie ona pewnym zmianom, boć przecie nie uchodzi w czasach dzisiejszych, żeby najbiedniejsi i najnieszczęśliwsi, którzy bez własnej winy utracili chwilowo zarobek, dla tego mieli podlegać karze i na całe życie byli urzędowo napiętnowani jako „włóczęgi.“

W świątyniach muz zupełna panuje cisza. Teatry zamknięte a sztuka dramatyczna przypomniała się tymi dniami Wiedniowi w sposób bardzo charakterystyczny. Oto w teatrze na Josefstadt zlicytowano zasoby sceniczne Costy, który zbankrutował. Kulisy, garderoba i wszystkie przybory sprzedano za bezcen. „Nocną okolicę z księżycem i wodą“ kupił ktoś za kilka guldenów, a „cała wieś w śniegu“ nie znalazła wcale nabywcy, królewskie korony i berła zbywano po kilka „szóstek.“

Na stałej wystawie obrazów w *Kunstlerhausie* spotkaliśmy dwa bardzo piękne utwory polskiego pędzla, mianowicie obraz Józefa Brandta *Wypoczynek* i Kozakiewicza *Skradzione dzieci.* Obadwa płótna odznaczają się realistycznem przedstawieniem. Z niemieckich obrazów najcenniejszem dziełem jest Feuerbacha *Śmierć Dantego.* Krytyka miejscowa, a na jej czele p. Ranconi, przechwala ten utwór wiedeńskiego malarza, którego mianuje następcą Makarta, chociaż pomiędzy talentem pierwszego a ostatniego nie zachodzi najmniejsza łączność, ani podobieństwo. Wogóle te przesadne pochwały wyglądają na reklamę, której zresztą cel jest widocznym: usiłują zrobić z Feuerbacha znakomitość, ażeby tym sposobem podtrzymać sławę miejscowego malarstwa, osieroconego przez zgon Makarta.

Tłumacz *Pana Tadeusza* na język niemiecki p. Lipiner dokonał teraz przekładu *Dziadów*, które niebawem mają wyjść w Lipsku nakładem jednej z tamtejszych firm księgarskich. Prace p. Lipinera są bardzo poprawne i bardzo chętnie czytane przez publiczność niemiecką, czego najlepszym dowodem jest zupełne wyczerpnięcie pierwszego wydania niemieckiego *Pana Tadeusza.* Nakładca przygotowuje obecnie drugie.

S.

„Państwo a szkoła.“

Pod tytułem powyższym, dotykającym sprawy nie nowej, ale zawsze, zwłaszcza na Zachodzie, żywo zajmującej, wyszła książka napisana przez autora, nie używającego jeszcze w świecie rozgłosu. Nazwisko jego: Ludwik Wuarin — kształcił się na pastora, trafił do publicystyki i zwrócił się szczególnie do socyologii, a właściwie do kwestyj, pozostających z socyologią w styczności bezpośredniej. Pracę, której tytuł powyżej wypisujemy, poprzedziły artykuły dziennikarskie, ona zaś sama jest poprzedniczką studyum niedrukowanego jeszcze p. t.: „Czy socyologia jest nauką?“ O studyum tem mamy wiadomość stąd, że, przedstawione Akademii nauk moralnych i politycznych w Paryżu, otrzymało pierwszą nagrodę. Toż samo odznaczenie zaszczytne spotkało i rozprawę p. t. „Państwo i szkoła“ — mówiąc przeto o niej, rozprawiamy się nie z samym tylko autorem, ale oraz i z Akademią, która wyrażone przezeń poglądy za swoje przyjęła, która je podpisała. Przedstawia ona opinię ciała naukowego bardzo poważnego w sprawie niezmiernie ważnej i trudnej—w sprawie procesu, toczącego się obecnie a nie rozstrzygniętego jeszcze, pomiędzy rodziną, kościołem a państwem o prawa i obowiązki wychowywania pokolenia młodego. Chodzi tu o dzieci, o szkoły początkowe. „W tym ważnym przedmiocie—słowa autora—dwa systemy, albo raczej dwie dążności, dwa prądy ścierają się z sobą: z jednej strony szkoła indywidualistyczna, sprowadzająca udział państwa do minimum, z drugiej — szkoła socyalistyczna, któraby, przesadzając w kierunku przeciwnym, chciała, ażeby państwo mieszało się do wszystkiego.“ Czy który z prądów tych jest racyonalny, a jeżeli jest, który mianowicie? Za rzecznika pierwszego podaje nam autor Fryderyka Passy, drugiego — p. Mollinari, polemizujących ze sobą w *Ekonomiście belgijskim.* Spór tak pomiędzy nimi, jak wogóle, toczy się na polu teoryi. Praktyka wskazuje przykład jeden główny i widny — Anglię, gdzie wychowanie publiczne, pozostawione całkowicie inicyatywie prywatnej, doprowadziło do rezultatów, o których John Bright wyraził się w następujący sposób: „Gdy przez kraj nasz przejeżdżamy, cóż po naszych miastach wielkich i w większej części po wsiach widzimy? Budynki publiczne ogromne, które jednak nie są szkołami. Widzimy obszerne przybytki dla ubogich, obszerne więzienia, szkoły — rzadko... Myślę, że zakłady te są pomnikami braku roztropności rządów naszych i wadliwości naszego systematu miłosierdzia publicznego.“ Tak anglik odzywa się o Anglii, gdzie inicyatywa prywatna rozwiniętą jest silniej, aniżeli gdzieindziej i gdzie na polu oświaty publicznej spółzawodniczyły ze sobą potężne instytucye duchowne: kościół anglikański i kościoły dyssydenckie. Mimo to, mimo usiłowania stowarzyszeń świeckich, oświata publiczna początkowo pozostawiała do życzenia wiele. Bez pomocy rządu obejść się ona nie mogła, bez pomocy, która stopniowo a coraz to silniej objawiała się od r. 1833. Od tej chwili weszło w nią jakby życie nowe. Autor przytacza kolejno bile parlamentarne, z wyjątkiem ostatniego (1869), upoważniającego gminy do zaprowadzania przymusu szkolnego. Pod wpływem tej ustawy oświata rozwinęła się ogromnie. Wedle sprawozdania, przedstawionego parlamentowi przez p. Stanhope, wiceprezydenta rady w gabinecie Salisburego, na sesyi ostatniej, liczba dzieci uczęszczających do szkół przechodzi obecnie 4 miliony, podczas kiedy przed r. 1870 zaledwie dochodziła miliona. Przy tej sposobności uczynił minister ciekawe zestawienie. W okresie między r. 1869 a 1884 liczba osobistości — mimo, że się ludność powiększyła — skazanych przez trybunały na kary hańbiące zeszła z 11,946 na 9,500. Zmniejszenie to odnosi się nie do emerytów występku, ale ludzi młodych, takich właśnie, co z dobrodziejstwa przymusu szkolnego korzystać już mogli. Ci ostatni mianowicie do więzień i do szubienicy znacznie mniejszy, aniżeli dawniej, dostarczają zastęp. O zjawisku tem autor nie wiedział, byłby bowiem wyraźniej i bardziej stanowczo oświadczył się za systemem angielskim, polegającym na udzielaniu ze strony państwa zachęty i pomocy usiłowaniom bądź

Elpinika.

Ksantypie, bądź wesołym spokojniej.

Ksantyp (*siada*).

Albożjestem demokratą i uciekam z pod Koronei, żebym miał być smutny? Mój papa, mądry szpak: również tam nie był i również sobie śpiewa. Ach, jak zaśpiewa, gdy przerobi swoje nieprawe płody na obywateli ateńskich! Dziś odbywa się to opieczętowywanie moich przyrodnich braciszków szlachectwem, dziś przypada któraś tam rocznica rzezi demokratycznego bydła na polach Koronei, dziś moją matkę, kobietę niezmordowaną w zawodzie małżeńskim, wydałem po raz trzeci za mąż — tyle uroczystości musiałem przecie uczcić ofiarą z wina, a uczciłbym jeszcze inne, ale mi zbrakło pieniędzy. Dobrze też uczynił Hermipos, że mnie wezwał do ciebie, o najbogatsza, choć nie wiem po co.

Elpinika.

Po to, ażebyś przestał święcić rozmaite uroczystości, kiedy tak doniosła sprawa powołuje cię do udziału w obradach narodowych.

Ksantyp.

Protagoras uczył mnie: dusza jest nieważka i bezkształtna. Ja sobie wyrozumowałem: dusza — to para, a ponieważ wino daje parę, więc pić powinien każdy, kto chce mieć wielką duszę.

Elpinika.

Wiesz, co zamierza Perykles; otóż pomyśl, jakie by to sprawiło wrażenie, gdybyś ty, jego syn, wystąpił przeciw ojcu, przeciw pokalaniu waszego starożytnego rodu...

Ksantyp.

Mogę!

Elpinika.

W tym stanie? przy powiększonej duszy?

Ksantyp.

Nie szkodzi. Mogę nawet powiedzieć więcej: — co? — aha! — że usiłował zbałamucić mi żonę, bo jej dawał skrycie pieniądze, a mnie odmawiał; dalej co? — a! — że chciał zamienić swoją zużytą Aspazyę na moją świeżą Tisandrę; jeszcze co? — że zawiedziony na tej rachubie, rzucił się z rozpaczy w objęcia — Protagorasa.

Elpinika.

Więc idźże i ogłoś to wszystko publicznie.

Ksantyp (*wstaje*).

Idę! (*oddala się niepewnym krokiem*). Oko w oko! (*zatrzymuje się*). Ten Perykles... mój ojciec... budzi we mnie zawsze jakąś... nieprzyjemność. To nie winiarz Hekaton, dzielny chłopiec, przed tym mogę się z wszystkiego wygadać. On także lubi moją Tisandrę. Ale papa Perykles, jak spojrzy na mnie... Zawsze wolałbym moje żale napisać, żeby kto inny mu je odczytał.

Elpinika.

To siadaj i pisz.

Ksantyp.

Na sucho? Ja tak nie umiem. I w żołądku powinno być mokro i w kałamarzu.

Elpinika.

Nora! (*niewolnica ukazuje się*). Kubek wina.

Ksantyp.

Odrazu dzbanek (*po odejściu Nory*). Co za szkaradna niewolnica! Chyba Kaliasowi nie usługuje, bo tylko kobieta może znieść przy sobie taką poczwarę. Gdzież Egina, pulchna Egina, którą Polygnotos oszczypywał?

Elpinika (*surowo*).

To jest dom Kaliasa, ale nie szynk Hekatona.

Ksantyp.

Przepraszam cię, o najbogatsza, przepra-

kościoła, bądź sekt, bądź stowarzyszeń i osobistości cywilnych, bądź gmin wreszcie, pod warunkiem nie innym, jeno tym, ażeby szkoła, pobierająca pomoc, była świecką.

System angielski wydaje się p. L. W. wzorowym, wymagającym jeno tylko — ze względu na to, że „co kraj to obyczaj“— stosownych w państwie każdem zmian. We Francyi, np., nie dałby się zastosować literalnie. Możnaby się jednak do wzoru tego zbliżyć, urządzając kosztem i pod kierunkiem rządowym zakłady, mające na celu wywołanie współzawodnictwa prywatnego.

Według p. L. W. na sprawę wychowawczą zapatrywać się należy, jak na przemysł, którego zadanie spoczywa w zaspakajaniu potrzeb życiowych. Bo czyż nie na tem samem polega zadanie oświaty? Śmiesznym i nie pojmującym roli swojej byłby ten rząd, któryby zakładał piekarnie, rzeźnie, warsztaty tkackie itd. i sam żywił i odziewał ludność; równie śmiesznym i roli swojej nie pojmującym jest ten, co sobie wyłącznie przyznaje monopol szkół. Podobieństwo zachodzi tu zupełne i rozciąga się na obowiązek rządu czuwania nad życiem i zdrowiem obywateli kraju i przestrzegania, ażeby dostarczyciele artykułów, od których życie i zdrowie ogółu zależy, stosowali się do reguł i warunków, zapewniających pożyteczność. Rzeźnikowi nie wolno truć publiczności mięsem zepsutem, nie wolno na wadze oszukiwać, cen niepomiarkowanie podnosić. Czuwanie i przestrzeganie dokonywa się tu w sposób dwojaki: bądź na drodze policyjnej, bądź też za pomocą wywoływania współzawodnictwa, gwoli któremu rząd zniewolonym bywa niekiedy do zakładania rzeźni własnej. Takie samo postępowanie dałoby się zastosować do szkół, dostarczających ogółowi pożywienia umysłowego. Rząd nietylko czuwać winien nad jakością udzielanego przez nie pokarmu, ale oraz i nad tem, ażeby zakładów tych ogółowi, nie wszędzie i nie zawsze pojmującemu potrzebę oświaty, nie brakło. Wynika stąd potrzeba i obowiązek zakładania szkół rządowych.

Trudną jest kwestya jakości strawy umysłowej. Autor rozstrzyga ją tak:

„Szkoła początkowa rządowa, ażeby celowi swemu odpowiedziała i w roli swojej pozostawała, wystrzegać się winna udzielania nauki, nacechowanej w jakimbądź stopniu charakterem tendencyjności. Nakazaną jej jest jaknajściślejsza obojętność we wszystkich dzielących ludzi sprawach wierzeń i opinii. Do programu swego wprowadzi ona te jeno pierwiastki wiedzy pozytywnej, które, stanowiąc część konieczną wychowania dziecka, nie nauczają się dwoma różnymi sposobami.“ Z punktu tego wychodząc, wyklucza p. L. W. ze szkoły wszystko, co ludzi różni, a więc: religię, naukę moralności i politykę — pierwszą dlatego, że nie może być jednakowo wykładaną wyznawcom kościołów i sekt różnych, drugą dlatego, że nie rozstrzygniętą jest jeszcze kwestya moralności niezależnej, trzecią dlatego, że wytwarza stronnictwa, pozbawione w szkole racyi bytu. Oświadcza się za neutralnością szkoły zupełną, za przedmiotowością w nauczaniu bezwzględną.

W szkole jednak łączy się nauczanie z wychowaniem, wyrażającem się, jeżeli nie inaczej, to za pomocą czuwania nauczyciela nad postępowaniem uczniów, nad konduitą, która regulować się musi według zasad pewnych, dotyczących przyzwoitości i moralności. Są wady ogólne, przeciwko którym oddziaływanie jest obowiązkiem ludzi wiar i przekonań wszelkich, jako to: pod wszelaką postacią i na każdym stopniu kłamstwo, nieszanowanie własności cudzej, nadużywanie siły, mściwość, zazdrość, donosicielstwo, zamiłowanie w znęcaniu się nad zwierzętami, niegrzeczność względem współuczniów, nauczycieli itd. Karcenie i powściąganie tych wykroczeń a zarazem rozbudzanie słowem i przykładem w dziecinnych sercach i umysłach zalet, stanowiących przeciwieństwo przywar, które w młodym wieku, bez różnicy wiary i przekonań, wkorzenione, do smutnych w życiu późniejszem doprowadzają następstw — rozumie się samo przez się. Bez względu na to, czy kto jest katolikiem, protestantem, żydem, muzułmaninem potrzeba miłować prawdę, szanować własność cudzą, być szlachetnym, pomocnym, odważnym, przyzwoitym, grzecznym. Zalety te urabiają się na drodze praktycznej. Doświadczenie uczy, jak je rozbudzać i rozwijać.

Neutralność szkoły stanowi oś pracy laureata Akademii nauk moralnych i politycznych, jego ideał wychowawczy, ideał o tyle, o ile państwo w zakładaniu i organizowaniu szkół udział bierze. Szkoła państwowa, wzorowa, neutralną bezwzględnie być powinna, jeżeli ma służyć wszystkim bez wyjątku i różnicy najmniejszej. Nie ma być ona wyznaniową, albowiem dogadzając jednym, zrażałaby innych, ani bezwyznaniową i bezwyznaniowość bowiem jest wyznaniem, ani międzywyznaniową— *unsectarian* (jak rodzaj ten w Anglii i Ameryce nazywają) — z powodu niesłychanej w lawirowaniu śród dogmatów, doktryn i przekonań trudności, ale czysto, wyraźnie i ściśle obojętną.

Idealna taka szkoła nie istnieje nigdzie jeszcze, pomimo, że w wielu krajach spostrzegamy wyraźną ku wytworzeniu jej dążność. Starają się o to w Anglii, we Francyi, w Szwajcaryi, w Niemczech; wszędzie jednak dotychczas wciskają się do szkoły cele, jeżeli nie religijne, to polityczne. Za najbardziej do ideału swego zbliżające się uważa p. L. Wuarin założone za ministerstwa Falka w Prusiech tak zwane *Simultan-Schulen*; nie wie jednak, że w ich podstawie tkwi myśl nie wychowawcza, ale polityczna, podkopująca oświatę w warunku najważniejszym, w języku narodowym. Szwajcar, w którego ojczyznie mimo różnicy mów kwestya językowa nie istnieje, nie domyśla się, ani przypuszcza potworności podobnej.

W dwóch rozdziałach ostatnich studyum zajmuje się bezpłatnością i swobodą nauczania. Szkoła rządowa bezpłatną być powinna z powodów, które są znane powszechnie. Autor w tym przedmiocie nic nie powiedział nowego, równie jak i w kwestyi swobody nauczania, odnoszącej się do zakładów prywatnych i tyczącej się programów. Dozór państwowy nie wyklucza dowolności metod i systemów, jako też charakteru szkół. „Panowanie prawa kończy się, gdzie się zaczyna panowanie sumienia“ — słowa Napoleona I. Sumienia rodziców na poszanowanie zasługują, powinno więc być dla nich ujście w szkołach prywatnych wyznaniowych, które innej we względzie wychowawczym funkcyi spełniać nie mogą, jak współzawodniczą. Współzawodnictwo, jeżeli w czem korzyść przynieść może, to szczególnie w nauczaniu, będącem jednem co do celu, ale różniącem się nieskończenie co do środków i sposobów, a także i stosunku szkoły do rodziców. Sposoby i środki doskonalić i nowe odkrywać, czyniąc zadość przytem sumieniom rodziców, można jeno, zdaniem autora, na drodze współzawodnictwa, dla którego swoboda nauczania jest warunkiem nieodzownym.

Takie są zasady, które młody pisarz wygłosił i w motywy odpowiednie zaopatrzył

---

szam. Gdyby poczciwy Hekaton miał jeszcze dla gości Eginę! (*Nora wnosi kubek wina, które Ksantyp wypija — do Nory*). Nalej drugi.

Elpinika (*na którą Nora spoglądała pytająco*).

Przynieś! (*do Ksantypa po wyjściu Nory*) Pisz.

Ksantyp (*siada przy stoliku, bierze kawałek papyrusa i macza trzcinkę w tuszu*).

Czem ja miałem ozdobić ten marny skrawek papyrusowy? (*wstaje*). E, wolę rozprawić się z Peryklesem oko w oko... (*Nora podaje mu kubek, który on również wychyla duszkiem*). Nalej trzeci.

Elpinika *do Nory*).

Odejdź.

Ksantyp.

Zaczekaj (*Nora wychodzi*). Czemu nie dajesz trzeciego? Bardzo dobrze — nie skrzywiłem się przecie.. Zabrakło? Dziękuję i za tyle. U Hekatona sobie dossę. Ale mama Elpinika na dzbanuszek pożyczy... Moja złota, moja...

Elpinika.

Mój pijany, zakończmy na dziś tę rozmowę.

Ksantyp.

Ja, pijany? Co ci stłukłem? Jak mi się podoba, mogę być trzeźwiejszy, niż studnia.

Elpinika.

Ach, Ksantypie, gdybyś ty zdołał choć na krótką chwilę zrozumieć, ile dobrego pozbawiasz siebie i kraj cały!

Ksantyp.

Zrozumiem. Kraj cały? Mów naprzód o kraju całym.

Elpinika.

Peryklesa trzeba koniecznie usunąć od wpływu, a usunąć go można tylko przez ujawnienie wszystkich jego występków.

Ksantyp.

Tak!

Elpinika.

Oskarżenie zaś ojca przez własnego syna.

Ksantyp.

Oko w oko? Nie! Wolę napisać...

Elpinika.

Pisz-że raz, a za tę kartkę Perykles odda ci swój majątek.

Ksantyp.

Majątek! Niechże cię Zeus uwiedzie! Hekatonie, dzielny chłopcze! A ja głupi nie wiedziałem, że w kilku palcach prawej ręki mam ukryte skarby. Pójdź tu szanowny obrzynku papyrysowy, pokryj się mojemi srebrnemi słowami! (*siada i pisze*). Obładowana skarbami ręka nie może się ruszyć... Bałamucił Tisandrę... Biedna moja żoneczka... Dawał mi za nią Aspazyę... Ukształcona? Ba, lepsza taka, której jeszcze nikt nie uczył. Ha, ha, ha! (*zwróciwszy się do Elpiniki*). Prawda? (*pisze dalej*) Protagoras... Ten by sobie nie pozwolił... Co tam! Uwierzą... Koniec. (*do Elpiniki*) Oto masz...

Elpinika.

Za pozwoleniem... Na co umarł twój brat młodszy, Paralus?

Ksantyp.

Na chorobę.

Elpinika.

Czy Perykles nie pomógł mu do zejścia ze świata?...

Ksantyp.

Niewątpliwie. Przysyłał mu wina, ciasta...

Elpinika.

Prawdopodobnie zatrute...

a Akademia nauk moralnych i politycznych w Paryżu sankcyą swoją osłoniła. Fakt ten nie jest pozbawiony znaczenia pewnego w chwili ścierania się różnorodnych zasad pedagogicznych.

T. T. Jeż.

PARADOKSY.

IV.

Potężny rozwój ośrodków nerwowych, będących siedliskiem sądu i woli, stanowi, podług Nordaua, organiczne podścielisko geniuszu. Jednostronny rozrost siły woli dla wytworzenia zjawiska tego nie wystarcza. Olbrzymy woli zdołają przełamać wszelkie trudności, przeszkadzające urzeczywistnieniu ich pojęć, bez względu na to, czy owe trudności występują pod postacią rzeczy lub ludzi, ustaw lub obyczajów; ale nie są w stanie samodzielnie wypracować wielkiej doniosłości i użyteczności wyobrażeń. Herkules wykonywa dwanaście robót, lecz musi mu je polecić Eurysteus. Przy pomocy woli samej można w najlepszym razie zostać wodzem, marszałkiem, sławnym ministrem monarchy genialnego, albo, co częściej bywa, nieśmiertelnym władcą genialnego ministra; w najgorszym razie, wyrasta sybaryta, od którego orgij rozbrzmiewają ziemie i dzieje, albo przestępca, który postrach budzi pomiędzy współczesnymi—Cezar Borgia, albo Rinaldini. Natomiast jednostronna doskonałość władzy sądzenia sama przez się już jest geniuszem. Geniusz taki bez szczególnej siły woli staje się wielkim myślicielem, filozofem, matematykiem, a często i przyrodnikiem. Jeśli zaś wola zarówno jest rozwiniętą, jak władza sądzenia, czyli, jeśli mamy do czynienia z człowiekiem, będącym zarazem geniuszem sądu i woli, wtedy witamy jedno z owych zjawisk, które zmieniają bieg dziejów i świata. Człowiek taki nie mówi i nie pisze, lecz działa, podług myśli własnej, rozkazuje innym ludziom i siłom przyrody. Staje się on wpośród ludzkości tem, czem chce, i czyni, co chce. Odkrywa części świata, zdobywa kraje, panuje nad ludami. Idzie śladem Aleksandra, Mahometa, Kromwela, Napoleona.

Zaprowadzając w dalszym ciągu kolej pomiędzy geniuszami stosownie do stopnia doskonałości organu, będącego ich podstawą—autor tym, których ostatnio wymieniliśmy, wyznacza pierwsze miejsce. „Są to ludzie czynu—powiada—którzy tworzą historyę, którzy duchowo i cieleśnie kształcą narody i na długo przepisują im losy, wielcy prawodawcy, organizatorowie państw, a w części i zdobywcy.“ W drugim rzędzie stawia geniuszów sądu o dostatecznie, lecz nie nadzwyczajnie rozwiniętej sile woli, wielkich badaczów, wynalazców i odkrywców. Od geniuszów pierwszej kategoryi różnią się głównie tem, że nie umieją posługiwać się ludźmi, jako materyałem do urzeczywistnienia swoich wyobrażeń. Wola ich dosyć ma siły do pokonywania przeszkód martwych, ale z żywemi poradzić sobie nie umieją... Trzecie z kolei miejsce zajmują geniusze sądu czystego bez odpowiednio wykształconej woli, myśliciele, filozofowie. Rozległość pojęcia, mądrość, dar odgadywania zjawisk pozazmysłowych, co do czasu lub miejsca oddalonych—oto są prawdziwe cechy tych geniuszów. Wszelako nie doskonali są oni w tym względzie, że wyobrażenia, które myśl ich wspaniale wykończa, we własnym ich pozostają mózgu lub co najwyżej występują w słowie pisanem lub mówionem.

Po za temi trzema kategoryami geniuszów myśli (*cogitationellen Genies*) stoją geniusze budzący wzruszenia (*emotionellen*), którzy od masy przeciętnej różnią się większą siłą pracy automatycznej ośrodków nerwowych, ale nie jakimś ich szczególnym rozwojem, którzy nie są w stanie użyczyć otoczeniu swojemu nowych, świadomych wyobrażeń lub takichże pobudek, lecz wywołują w niem jedynie pół—lub całkiem bezświadome wzruszenia. Pierwsze miejsce zajmują tu poeci, gdyż po pierwsze w pracy ich władza sądzenia nie mały ma udział, powtóre działają oni za pomocą środka, który z pomiędzy wszystkich zmysłowych najwłaściwszym jest do uzewnętrzniania stanów świadomości, owej najprzedniejszej treści sztuki wszelkiej—za pomocą słowa. Dalej następują artyści malarze i rzeźbiarze i muzycy, zmuszeni wszyscy ograniczać się na pojęciu i przedstawieniu takich zmysłowych cech świadomości, które tylko ogólnikowo malują, podczas gdy poeci zdolni są owe cechy ostrymi określić rysami i tak odszczególnić iż niepodobna prawie wziąć ich za inne stany pokrewne. Bez współdziałania władzy sądzenia co najwyżej obejść się może liryk, którego „oko po pięknym toczy się szale“ i którego wrażenia, nie zbaczając w dziedzinę świadomości, wprost automatycznie organy mowy pobudzają do czynności. We wszystkich innych rodzajach poezyi poeta przy pomocy władzy sądzenia tworzy wyobrażenia świadome, które od takichże wyobrażeń myśliciela różnią się tylko tem, że mają za przedmiot uprzytomnienie wzruszeń odziedziczonych, a nie odgadywanie niepochwytnego związku pomiędzy zjawiskami.

W dalszym ciągu Nordau mówi jeszcze o sugestyi, czyli duchowem oddziaływaniu ludzi na siebie, o wdzięczności, o treści literatury poetycznej, o historyi naturalnej miłości, o estetyce ewolucyonistycznej, o symetryi, o uogólnieniu, o siedlisku prawdy, o wpływie tytułów na charaktery, o narodowości, a wreszcie o przyszłości. Wszystko to są przedmioty nadzwyczaj zajmujące i o każdym z nich niejedno w tem miejscu przytoczyć by warto. Pamiętając jednak o ramach pisma tygodniowego, które z konieczności sprawozdaniom w rodzaju niniejszego ściśle granice zakreślać musi, zniewoleni jesteśmy pominąć mnóstwo interesujących szczegółów i kartki, jakie nam tu jeszcze do końca pozostały, poświęcić rozpatrzeniu wybitniejszych jedynie ustępów.

O stosunku życia do literatury, Nordau tak się wyraża: „Wpływ piśmiennictwa beletrystycznego na życie nierównie większym jest, aniżeli stosunek odwrotny. Przedewszystkiem pisarze często odrywają się całkowicie od faktów rzeczywistych i wyłączną zwracają uwagę na samowolną grę wyobraźni. A jeśli nawet pobudki swe czerpią ze świata otaczającego, trzymają się nie faktów i praw przeciętnych, jakie z codziennego biegu życia mas byłby wyprowadził spostrzegacz sumienny, lecz wybierają sobie jakieś zdarzenie wyjątkowe, które im wypadek nasunął przed oczy lub które z przyczyn organicznych, osobistych, wywarło na nich wrażenie pewne i tego zresztą wiernie nie malują, lecz przekształcają w sposób sobie właściwy. Oto cała powierzchnia, na której życie styka się z poezyą. Jest ona tak wązką, jak grzbiet noża. Jeśli wobec tego wogóle można mówić o oddziaływaniu życia na utwory piśmiennicze, oddziaływanie to nie większem jest, niż wpływ rzeczywistości na sny, które podobnież wywołane zostają przez bardzo słabe wrażenia zmysłowe, te ostatnie jednak samowolnie i bezgranicznie

---

Ksantyp.

Naturalnie.

Elpinika.

Dołącz to podejrzenie i podpisz się.

Ksantyp (*pisze*).

Wina zbyt gorzkie, ciasta zbyt słodkie... (*wstaje*). Oto masz, Elpiniko, skargę serca mojego, którą złóż przed tronem najwyższego boga.

Elpinika (*przeczytawszy papyrus*).

Doskonale. Ani przypuszczałam...

Ksantyp.

Mamuniu najkochańsza...

Elpinika.

Proszę cię, tak mnie nie nazywaj...

Ksantyp.

Dla czego? Moją matkę wydałem za mąż, twój Hiponikos jeszcze mały a ja jestem już duży. Słusznie mamuniu zauważyłaś, że ta kartka—to cały majątek mojego ojca. Zatrzymaj ją i zalicz mi tylko drobną cząstkę...

Elpinika.

Ile ci potrzeba?

Ksantyp.

Hekatonowi coś jestem winien... spadek po Peryklesie muszę z przyjaciółmi okropić... Niewiele—sto drachm.

Elpinika.

Za każdy wyraz jedną (*rachuje napisane przez Ksantypa słowa*) osiemdziesiąt trzy... (*wyjmuje ze stolika pieniądze i kładzie mu na rękę*).

Ksantyp (*uradowany*).

Każdy wyraz drachma! Osiemdziesiąt trzy! (*wchodzi Protagoras*).

SCENA 7.

Clż i Protagoras.

Elpinika (*do siebie*).

W takiej chwili... a!

Ksantyp.

Protagoras, mój szanowny nauczyciel.

Protagoras.

Niewolnik wskazał mi, że tu znajdę Kaliasa.

Elpinika.

Spocznij obywatelu, mąż mój zaraz nadejdzie.

Ksantyp.

Usiądź, mistrzu, bo krzesło miękkie. Zaraz przeliczę, to pofilozofujemy.

Elpinika (*do Ksantypa*).

Zdaje mi się, że przyjaciel zbyt długo na ciebie czeka.

Ksantyp.

Hekaton, dzielny chłopiec, ucieszę go! (*do Protagorasa*). Znowu jestem pan! Dzięki tej zacnej matronie, którą bóg za to w późnym wieku obdarzył synem, będę miał z czego żyć.

Protagoras.

A raczej—pić. (*Elpinika tłumi gniew*).

Ksantyp.

Słońce robi to samo, tylko ono głupie pije z winnych jagód rosę, a ja—sok. Ha, ha, ha! Hekaton dzielny chłopiec. Żegnam, żegnam...

Mój papa trzyma kopę żon,
Lecz mężem własnej nie jest on (*wychodzi śpiewając*).

(D. c. n.).

---

w najnieprawdziwsze przemieniają wyobrażenia. Wpływ natomiast tak zwanych utworów pięknych na życie jest ogromnym. Siła to potężna i bezustannie działająca, której mimowoli ulega cała osobistość duchowa czytelnika, cały jego sposób myślenia i działania. Uprzytomnijmy sobie warunki bytu masy przeciętnej. Osobnik spędza tu życie w granicach najciaśniejszych. Po za kółkiem swojem rodzinnem nie wielu ludzi poznaje bliżej, a rzucić wzrok we wnętrze cudzego ducha nigdy prawie nie ma sposobności. Z własnego doświadczenia nie wie nic o wielkich namiętnościach i uczuciach, o burzach i rozdwojeniach, wstrząsających ludzkością i, gdyby musiał poprzestać na rezultatach samoobserwacyi, z pewnością nie domyśliłby się, że prócz kuchni, sklepu, kościoła, jarmarku i domu gminnego, istnieje jeszcze świat inny. Ale ten osobnik czyta książki dla rozrywki, chodzi do teatru i widzi tam postacie, których we własnej rzeczywistości nie napotkał nigdy: królewiczów z bajki, wielkie damy z brylantowemi gwiazdami we włosach, awanturników i przestępców, ludzi anielsko-dobrych i intrygantów niecnych; spostrzega położenia, w jakich nie znajdował się nigdy i dowiaduje się, jak owe postacie fantastyczne w położeniach tych myślą, czują i działają. Podług wszelkich praw psychologii nieuniknionem jest w takich razach, że czytelnik nie będący w stanie na podstawie wiadomości własnych ograniczyć lub sprostować faktów w formie pozytywnych zapewnień przez autora podawanych, wierzy mu na słowo, z dzieł jego czerpie wyobrażenia swoje o życiu, jego ludzi bierze za wzór, przyswaja sobie sądy jego, skłonności i wstręty. Jak zwykle mania naśladownictwa, romans i teatr silniej wyciskają piętno swoje na osobnikach duchowo mniej rozwiniętych lub mniej zdrowych, aniżeli na wybitnych, samodzielnych i zupełnie normalnych, a więc przedewszystkiem wpływają na natury szablonowe, młodzież, kobiety, hysteryków. „Od wielu lat—powiada Nordau o sobie—bezpośrednio patrzę na to w Paryżu. Paryżanka na wskroś jest dziełem dziennikarzy i powieściopisarzy francuskich. Literalnie, pod względem cielesnym i duchowym, robią z niej, co im się podoba. Mówi, myśli, czuje, działa, ba, nawet ubiera się, porusza, chodzi i stoi tak, jak chcą modni pisarze." I w krajach innych dzieje się nie inaczej. Ostatecznie jednak nie byłoby w tem tak wielkiego nieszczęścia, gdyby piśmiennictwo nadobne przedstawiało masom same zdrowe i prawdziwe ideały. Ale tak nie jest. Piśmiennictwo to, z bardzo małymi wyjątkami jest ogromnym zbiorem historyi chorób, z których większa część utkana przez okrutną lub nieświadomą fantazyę, jest nie kończącym się nigdy spisem zakłóceń, jakim podlega umysł ludzki, od lekkiego przyćmienia sądu przez namiętność ślepą, aż do najpotworniejszego wyuzdania moralnego. I prasa przesiąknięta tą potwornością i patologizmem. Nowiny, jakie przynosi czytelnikom swoim, dotyczą mordów i zabójstw, pożarów, wypadków na kolejach, powodzi, trzęsienia ziemi—zdarzeń, których w krajach ucywilizowanych na stu ludzi jeden może naocznym był świadkiem. Życie normalne dla gazeciarzy cały straciło urok. Zaznaczają tylko to, co jest nadzwyczajnem, co z codziennego wychodzi trybu—i to dążenie właśnie stanowi objaw patologiczny. Przyczyny objawu tego odnajduje autor tak w czytelnikach samych, jak i w autorach, którzy im dogodzić usiłują. O środkach zaradczych zaś tak mówi: „Nie widzę sposobu przeciwko zarażaniu fantazyi czytelników materyami rozkładowemi beletrystyki, chyba ten, żeby państwo postanowiło zabronić pobytu w wielkich miastach wszystkim romansopisarzom i dramaturgom, i wypędziło ich do sioł spokojnych pomiędzy czerstwych wieśniaków, albo, żeby znalazł się ktoś, coby namówił pisarzy z powołania, aby zamiast wypadków wyjątkowych upowszechniali pomiędzy ludem fakty ogólne, fizyologię duchową, i aby zamiast książki o chorym, pisali książkę o zdrowym człowieku! „Obawiam się tylko, dodaje Nordau, że ta książka równie pożyteczna, jak godna zalecenia, nie znajdzie ani nakładcy, ani czytelnika."

W szkicu „o historyi naturalnej miłości," autor skarży się na zniekształcenie i skarykaturowanie tego uczucia przez literaturę. Romanse, jego zdaniem, są winą, iż kobiety wmawiają sobie, że posiadania ich mężczyzna nawet zrzeczeniem się najwznioślejszych celów i zadań nie może dostatecznie okupić, że wybierają rozpływających się we łzach niewieściuchów, a zdrowych i silnych mienią ludźmi bez serca i zimnymi, że wogóle zakochani dzisiejsi miłość wyobrażają sobie pod postacią czegoś, co wybucha gwałtownie, niedorzeczności plecie i gestykuluje, odbiera sen i apetyt i od pracy obowiązkowej odrywa. Jeśli kobieta oczytana pokocha kogoś, niechaj nie wmawia w siebie, że go kocha. Nie—ona szukała wcielenia dla postaci jakiejś romantycznej z tej lub owej powieści i—znalazła. „Uderzmy się w piersi, bracia moi — powiada Nordau.—Jakkolwiek to jest niezmiernie upokarzającem, musimy sobie jednak wyznać szczerze, że każdy z nas w przygodach swych miłosnych był mniej lub więcej ową kartką z oślą głową ze „Snu nocy letniej," w której kochała się Tytania, bo była pod wpływem kwiatu czarodziejskiego. Oberonem, który Tytaniom naszym rosą z kwiatu czarodziejskiego zwilżył oczy, był po prostu—romansopisarz czy dramaturg."

Ad. J. Cohn.

BADANIA PSYCHOLOGICZNE.

James Sully. *Outlines of Psychology with special reference to the theory of education.* London 1884.

Ostatniemi czasy dotkliwie dawał się czuć brak dzieła, któreby, streszczając ostatnie wypadki badań psychologicznych, ułatwiało początkującym głębsze ich poznanie. Dotychczasowe próby, robione w celu spopularyzowania psychologii empirycznej, nie czyniły zadość wszystkim wymaganiom. Albo zbywało im na metodycznej ścisłości, albo, będąc wyrazem osobistych autora zapatrywań, nie obejmowały całego materyału naukowego. Od tych zarzutów wolnem jest dzieło Sully'ego. O jego zaś wartości wymownie świadczy ta okoliczność, że w ciągu jednego roku został wyczerpany cały pierwszy nakład, w tych dniach wychodzi drugie jego wydanie.

Pomimo, że głównem zadaniem pracy Sully'ego jest: podać w przystępnej formie formie wyniki psychologii doświadczalnej, nie jest ono przecież czystą kompilacyą. Autor, zajmujący poważne miejsce w filozofii angielskiej, zaznacza odrębne swe stanowisko i uwydatnia własny pogląd na sprawy umysłowe tak w układzie całego dzieła, jak i w zapatrywaniu się na ważniejsze zagadnienia psychologii. Z tem wszystkiem charakter sprawozdawczy stanowi główną cechę jego książki. Jakoż w punktach spornych, przytaczając różne o nich mniemania, sam powstrzymuje się od głosu i zostawia czytelnikowi zupełną swobodę w ich ocenieniu.

Stanowisko swe określa szczegółowo najprzód we wstępie, a wreszcie w załączonym na końcu dodatku. Dzieli on psychologię na trzy gatunki: na abstrakcyjną—np. Baina, na fizyologiczną, której przedstawicielem jest Wundt, i na rozwojową, której wzorem jest dzieło Spencera. Wszystkie te kierunki badań psychologicznych uzupełniają się wzajemnie. W każdym przecież razie punktem wyjścia dla nich musi być psychologia abstrakcyjna, która, posługując się obserwacyą wewnętrzną, jedynie zdolna dostarczyć klucza do wyrozumienia danych obserwacyi zewnętrznej i doświadczenia. Dla tego też praca Sully'ego jest przeważnie psychologią abstrakcyjną, ale wzbogaconą wszystkimi nabytkami, jakie zostały osiągnięte przez inne kierunki.

Różni się autor tem od innych psychologów angielskich, że przyznaje umysłowi większą samodzielność, niż którykolwiek z nich. Wprawdzie już Bain starał się wykazać i uzasadnić czynną stronę spraw umysłowych, nie uwydatnił jej przecież w tym stopniu, co Sully. Podług tego ostatniego czynną stronę umysłu stanowi uwaga dobrowolna, będąca koniecznym warunkiem poznania, urabiania się uczuć, oraz woli w najwyższym jej rozwoju, jako kontroli nad postępowaniem. Szczególniej ważną rolą odgrywa ona w kojarzeniu wyobrażeń, jako uwaga łącząca (*connective attention*). Wiadomo, że zjawiska świata zewnętrznego nie jednako oddziaływają na wszystkich ludzi. Kiedy jedni zdolni są odtworzyć w pamięci rzeczywisty związek wypadków widzianych, to inni, dla braku uwagi łączącej, wypadki przedstawiają w porządku zupełnie odmiennym. To też wyobrażenia nasze nie zawsze odpowiadają ściśle biegowi wydarzeń zewnętrznych.

Ponieważ umysł w poznaniu jest czynnym, przeto wrażenia zmysłowe, wobec których on zachowuje się biernie, nie stanowią poznania, lecz tylko materyał dla niego. Czynność poznania w ścisłem znaczeniu rozpoczyna się z chwilą, gdy kilka wrażeń zmysłowych skojarzy się w jedną całość, która zostanie wyosobnioną i umiejscowioną, jako pewien określony przedmiot. Ten moment czynności umysłowej stanowi istotę tego, co nazywamy postrzeganiem—percepcyą. W każdem postrzeżeniu musi być obecnem wrażenie zmysłowe rzeczywiste i kilka wrażeń przypomnianych i z niem skojarzonych. Tem się właśnie różni ono od czystego przypomnienia, w którem wrażenie zmysłowe rzeczywiste jest nieobecnem.

Pierwsza część dzieła, poświęcona rozbiorowi poznania mało pozostawia do życzenia. Zyskałaby ona wszakże na większej zwięzłości, pozwoliłoby to nawet autorowi głębiej rozważyć takie sprawy umysłowe, jak: sądzenie i wnioskowanie, które są za pobieżnie traktowane. Najlepiej obrobiona część ostatnia, w której Sully zastanawia się nad wolą.

Co do części drugiej, mającej za przedmiot uczucia—jest ona dość słabą. Ograniczył się w niej autor na uporządkowaniu materyału, ale to uporządkowanie jest czysto empirycznem. Wprawdzie zajmuje się on teoryą przyjemności i przykrości, które stanowią charakterystyczną cechę uczuć; ale ani jej rozstrzyga ostatecznie, ani też łączy ją logicznie z przeprowadzoną przez się klasyfikacyą uczuć.

Rozważając uczucia ze stanowiska abstrakcyjnego, nie wykazuje, w jakim zostają one związku z wrażeniami zmysłowemi, które przecież są ich jedynem źródłem. Klasyfikacya uczuć opiera się u niego na większej lub mniejszej ich złożoności. Stąd dzieli on je na proste i złożone, jakkolwiek zaliczone przez niego do prostych, przy ściślejszej analizie musiałyby okazać się złożonemi. Żałować należy, że autor nie uwzględnił pracy Grota, zamieszczonej w jednym z roczników pisma francuskiego: *Revue Philosophique*, pracy, w której podana jest prawdziwie racyonalna klasyfikacya uczuć.

Bądź co bądź, dzieło Sully'ego, pomimo owych niedostatków, które wytknąłem,

jest jak dotąd najlepszym podręcznikiem psychologii doświadczalnej, dającym czytelnikowi ogromny zasób materyału i obznajamiającym go ze wszystkiemi kierunkami badań.

Władysław Kozłowski.

LIBERUM VETO.

Pomysł *Figara* odradzający się nad Wisłą. — *Dla pogorzelców.* — Nasza natura i siły wobec jednodniówek. — Kluski z kazań. — Guziki. — Perły. — *Herszt* Maleszewskiego i *Lokomotywa* Dawida. — *Chwila* i półsłówka nad jej kołyską. — Garść frazesów. — Wskrzeszony błąd. — Polityka instynktu samozachowawczego.

Paryski *Figaro*, który przed kilku laty rzucił myśl wydania zeszytu krótkich artykulików na dochód powodzian Murcyi, ani przypuszczał, że myśl ta tak długo będzie się odradzała nad—Wisłą. Od tego czasu bowiem puściliśmy już w świat cztery jednodniówki—*Ziarno* dla głodnych, *Na pomoc* dla powodzian, a teraz *Dla pogorzelców* Grodna i *Śmiech dla łez*. Ostatni z tych albumów dopiero opuszcza prasę drukarską, ale przedostatni już sprzedaje się za półrubla, przeznaczone do skarbonki kwestarskiej. Przejrzawszy tę „jednodniówkę,“ utrwaliłem się jeszcze bardziej w dawniejszem przekonaniu, że ta forma nie odpowiada ani naszej naturze, ani siłom, i że powinniśmy obmyśleć sobie inną postać jałmużny literackiej. Przedewszystkiem—co w takich zbiorkach najbardziej się uwydatnia—posiadamy talentów bardzo mało a i między nimi szczyptę zdolnych wyrażać swe myśli i uczucia zwięźle. Rozwlekłość jest zasadniczą cechą umysłu polskiego, który nie umie poruszać się w szatach obcisłych, lecz potrzebuje długiego kontusza i zwisłej czapki. Najznakomitsze powieści nasze mogłyby być (z wielką dla nich korzyścią) skrócone o połowę. Gdy spartanka podawała odchodzącemu na wojnę synowi tarczę, rzekła tylko: „z nią lub na niej“—nasza matka powiedziałaby mu: „pamiętaj, moje najdroższe dziecko, które w bólach rodziłam, sprawuj się dobrze, noś na piersiach obrazek Matki boskiej częstochowskiej, słuchaj hetmana, bo on przyda ci się i później, a jeżeli polegniesz, krew ran twoich obmyję łzami.“ Grek mówił jak telegraf—polak mówi jak telefon. Treściwość, lakonizm sprzeciwia się naszej naturze. We wszystkich utworach Sienkiewicza i Prusa nie znalazłem ani jednego zdania, które warto byłoby jako złote ziarnko w pamięci zachować, chociaż obaj ci pisarze nakreślili wiele prześlicznych opisów i scen, chociaż obaj umieją malować piękne miniatury.

Jeżeli zaś tak się zachowują lwy, to cóż dopiero mówić o zwykłych kotach! Proszę sobie wystawić Fika lub Krztę, robaczka z niezliczonego roju pseudonymów, któremu nagle kazano być Goethem lub Rochefoucauldem: zawrzeć w paru słowach głęboką prawdę lub powiedzieć dowcipny aforyzm — co on zrobi? Nabzdurzy jakieś wspomnienie z młodości, wyjmie z serca „cierń życia,“ powtórzy pierwsze lepsze przysłowie, wydobędzie z „duszy“ wytarty ogólnik lub jeszcze raz zaręczy, że niewątpliwie zginą narody „bez religii i moralności.“ W jednodniówce też ostatniej zapisało się nie czterech księży, którzy ofiarowali po kilka wierszy ze swych kazań, ale co najmniej stu. Większość autorów, jeżeli nie „wspomina“ o czemś, to wskazuje drogę zbłąkanej ludzkości przez pola cnót teologicznych. W puszkach wystawy kucharskiej między wrzuconymi do nich pieniędzmi dla biednych znajdowano guziki. Czyż w wydawnictwie, w które każdy ma składać klejnoty swego ducha, np. reklamy pośmiertne dla Rychtera i Siemińskiego nie są „guzikami?“ Jest tam nawet jeden „guzik,“ jakiego w takich puszkach jeszcze chyba nie widziano: uwaga, że Estrejcher w swej *Bibliografii* nie zamieścił powieści Sienkiewicza *Na marne.* Sprostowanie bibliograficzne w jednodniówce—to prawdziwy „śmiech dla łez.“

Chociaż wszakże tegoroczny połów *Dla pogorzelców* nie należy do szczęśliwych, są w nim „perły“—jak się wyraża *Kuryer warszawski*, który do nich z dziwną skromnością zalicza także wierszyk swego redaktora (z treścią Nowego a tytułem Starego Zakonu—*Jehowa*). Według mnie do tych pereł należą przedewszystkiem obrazki: Orzeszkowej, Prusa, Jordana i Maleszewskiego. Orzeszkowa opowiada śliczną *legendę* o Numie Pompiliuszu, Prus milutko narysował szkic zapalacza latarń miejskich na tle *cieniów*, Jordan—charakterystyczną karykaturę zbankrutowanego koniarza. Maleszewski zaś... Posłuchajcie:

„Bawiliśmy się w zbójców. Było nas piętnastu: najstarszy miał lat dwanaście, najmłodszy dziewięć. Jeden z nas był Neronem, drugi—Kaligulą, trzeci—Attylą, dla piętnastego brakło nam tytułu jaskrawego. Kolega Piotruś, pomyślawszy, nazwał się Marcinem Kaczorem. Ów Marcin Kaczor vel Kaczorkiewicz był to znany wszystkim, nieludzki mieszczanin z przedmieścia.“ Gdy połapanych zbójców stawiono przed sędzią, każdy otrzymał stosowną karę; najsroższa jednak czekała Kaczora:

— A ty coś broił?—zapytał go sędzia.

— Ja—odpowiedział herszt z przechwałką—głodnych szczułem psami.

— Nędzarzy szczułeś psami?—ze zgrozą zawołał nawet Attyla, a Neron pięść zacisnął...

W oka mgnieniu sędzia, pachołkowie i my wszyscy, zbrodniarze historycznej sławy, powlekliśmy herszta do wypróchniałej lipy, gdzie na mocy wyroku miał się udusić.

Herszt się nie udusił: często go pod innem nazwiskiem spotykam.“

I my także—prawda?

W poezyi najmocniej błyszczą wiersze Deotymy, Gomulickiego i Bohusza; w prozie naukowej wyróżnia się artykulik J. W. Dawida, dedykowany nie maszynistom, ale „filozofom wyzwolenia,“ chociaż nosi tytuł *Lokomotywa.* Autor odpowiada na pytanie: co by myślała i czuła lokomotywa, gdyby była świadomą? A więc naprzód czułaby się wolną.“ Świadomość ta i poznanie umiejscowiłyby się prawdopodobnie w parze, otaczającej ją dokoła, której zdawałoby się, że ona to porusza i kieruje całym pociągiem. Widniejący zdala dworzec budziłby w lokomotywie wspomnienie miłego wypoczynku, którego tam nieraz doświadczała, a jednocześnie, zmęczona, postanawiałaby zatrzymać się—i zatrzymywałaby się, co wszakże nie przeszkadzałoby jej twierdzić, że gdyby chciała, mogła była tego nie uczynić. Nakarmiona węglem i wodą, przypomniałaby sobie znowu obowiązek i z początku ociężale i wolno, potem lekko i szybko puszczałaby się w dalszą drogę, a przebiegając po gładkich, mocnych i spojonych szynach, czułaby niewymowne zadowolenie spełnionej cnoty i nie wątpiłaby o swej zasłudze. Czasami wprawdzie zapaliłaby las, zabiła człowieka, wykoleiła się lub wpadła z mostu w wodę, ale i wtedy wynalazłaby jakieś rozumne powody tych czynów, wymotywowałaby je najlogiczniej, a któraś z inteligentniejszych, być może, stworzyłaby cały system metafizyczny, w rodzaju „filozofii wyzwolenia.“

Przykro zapewne p. W. Dębickiemu, który w „jednodniówce“ zabrał głos po p. Dawidzie, że nie przeczuwał tej „lokomotywy,“ bo byłby dał pokój Spencerowi i może by nawet coś znośniejszego napisał.

„Jednodniówka“ ma stronic 47 — pięć między niemi bardzo dobrych. Zacne chęci Pługa niech będą pochwalone.

Od października pragnie wychodzić w Warszawie nowy dziennik p. t. *Chwila*.....

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Wzór obywatela. — Paszport żydowski na tamten świat. — Poprawa rasy. — Co jest godnem naśladowania. — Dziwny wypadek. — Lekcya astronomii... społecznej.

Mamy nareszcie pożądany ideał obywatela, którego poszukiwaliśmy aż za pomocą konkursu i to nie ideał na papierze, ale żywy, chodzący na dwóch nogach (przynajmniej w stanie normalnym) z wąsami i brzuchem. Ideał ten wynalazł *Wiek* w gubernii lubelskiej, powiecie janowskim; jest to niejaki p. X., „który zasługuje na uznanie, jako pojmujący zadanie obywatela kraju w trudnych warunkach bytu.“

Ale cóż zrobił ten mąż wzorowy? Czy założył ochronę dla dzieci wiejskich, których podczas ostatnich dwóch tygodni w gubernii lubelskiej utopiło się 18; czy zbudował szkołę, otworzył nowe źródła zarobku dla ludności miejscowej, czy świeci jej przykładem moralnym? Nie! pan ten załatwił z korzyścią dla siebie sprawę serwitutową, w sposób bardzo praktyczny, chociaż nie zbyt, że tak grzecznie powiem—poprawny. Dodać należy, że warunki, w jakich p. X. działał, nie były wcale „trudne.“ Posłuchajmy sprawozdania. „W r. z., korzystając z gorliwości nowego komisarza włościańskiego, p. X. wystąpił z żądaniem ograniczenia służebności pastwiskowej i opałowej i komisarz wydał decyzyę,“ w której stosownie do tabeli ograniczył rozmiar serwitutów należnych włościanom. To „ograniczenie praw“ zmusiło opornych do uległości, w grudniu r. z. zawarli umowę o zamianę, ale później, po namyśle zerwali ją. Wtedy p. X., który do umowy wniósł paragraf, „bardzo zręcznie właściwy,“ że strona zrywająca układ płaci 200 rubli „za koszta i zawód,“ zapozwał chłopów do sądu i dzięki zaszczepionym niedawno na naszym barbarzyńskim gruncie pojęciom o „nieustojce“ uzyskał pomyślny wyrok. Suma przysądzona była solidarnie od wszystkich włościan, p. X. jednak potrafił wyzyskać odpowiedni przepis prawa i zaczął egzekwować całą sumę od kilku gospodarzy, których uważał jako podburzycieli. Nie dosyć na tem: pojmując trafnie „zadanie obywatela kraju“ itd. wytoczył kilkunastu włościanom sprawę kryminalną o obelgi straży leśnej i „rozwalenie płotu postawionego przy drodze.“ Po takiej nauczce chłopi przyszli do rozumu, zgodzili się na poprzednie warunki, wspaniałomyślny zaś p. X. „darował“ im przysądzone mu 200 rubli, i nadto obiecał jeszcze dawać każdemu przez dwa lata po 20 fur leżaniny. Korespondent nie wspomina jednak, czy cofnął skargi w sprawach kryminalnych.

Taki to jest najnowszy wzór obywatela, działającego w trudnych warunkach, w których wszakże pomaga mu gorliwość komisarza włościańskiego. W tej formie prawdziwego „bigosu hultajskiego“ spożywają strawę etyczną czytelnicy naszych gazet. Najciekawszą jednak jest pochwała za „darowiznę“ 200 rubli. Sumę tę sąd mógł przysądzić jako karę za zerwanie umowy, ale żaden człowiek uczciwy pieniędzy takich nie wziął by do ręki. Chłopi, zrywając układ, przywracali tylko istniejący przed umową stan rzeczy, p. X. nic więc w skutek tego nie tracił i nie

miał za co brać wynagrodzenia. Nic więc dziwnego, że owe 200 rubli „darował," inaczej byłby wyzyskiwaczem, teraz zaś jest człowiekiem, „który pojmuje zadanie obywatela kraju w trudnych warunkach bytu."

Jakiekolwiek są te warunki, okazuje się, że dosyć łatwo u nas wejść na wyżyny cnoty obywatelskiej, daleko np. łatwiej aniżeli żydowi postępowemu dostać się na kierkut łódzki.

W mieście tem mieszka izraelita niemiecki, który nie bardzo skrupulatnie zachowuje przepisy obrzędowe swego wyznania. Kiedy niedawno umarł mu syn, żydzi miejscowi nie chcieli wpuścić na swój cmentarz nieboszczyka, ponieważ na ciele jego nie znaleźli śladów operacyi, której poddawane bywają niemowlęta izraelskie zamiast chrztu. Zmarły nie posiadał tego paszportu, bez jakiego żaden prawowierny żyd nie może wstąpić do nieba, trup jego pozostał więc niepogrzebany i biedny ojciec wysłać go musi aż do Berlina.

Smutny wypadek spotkał innego ziemianina z lubelskiego, który również trafnie pojmując zadanie obywatela w trudnych warunkach bytu, przejął się zasadą, że liczba — to siła i gorliwie pracował nad pomnożeniem ludności krajowej. Działalność ta rozwijała się w kierunku uszlachetniania rasy chłopskiej krwią szlachecką, gorliwą zaś pomocnicą młodego reproduktora była córka owczarza z Jastkowa. Dziewka jednak, doczekawszy się dwóch okazów umiejętnego krzyżowania rasy, doszła widocznie do przekonania, że ten sposób postępowania jest błędnym i że bardziej racyonalną jest teorya p. L. Górskiego, według którego rasa ulepsza się za pomocą umiejętnego doboru i dobrego utrzymania rozpłodników, nie zaś przez krzyżowanie. Wybrała więc sobie zdrowego parobka i wstąpiła z nim w związki małżeńskie. Młodo stadło żyło zgodnie, mąż wiedział o przeszłości żony i nie wiele dbał o to, co było, zastrzegając sobie tylko wyłączność posiadania małżeńskiego na przyszłość. Ale młody ziemianin, nie dał za wygranę i zaczął znowu odwiedzać piękną owczarzównę. Wtedy mąż, zwoławszy na pomoc parobczaków, zbił straśnie wiejskiego lowelasa i pozbawionego przytomności wlókł do stawu, żeby utopić. Na szczęście zobaczyli to oficyaliści dworscy, odebrali poturbowanego i zawieźli go do Lublina, gdzie teraz „ofiara" (raczej chyba przyczyna) występku leczy się w szpitalu.

Gdyby istniało u nas pismo chłopskie, mogłoby dać swoim czytelnikom opis tego wypadku p. t. *Godne naśladowania*, bo jakkolwiek mieszkańcy Jastkowa wymierzają sprawiedliwość w dziki i brutalny sposób, postępek ich może sobie rościć pretensyę do tego tytułu, którym *Kur. warsz.* ochrzcił zmowę ziemian z okolic Kodnia, obowiązujących się „szlacheckiem słowem honoru" przyjmować służbę na jednakowych warunkach, nie dawać zajęcia wydalonym przez któregokolwiek z uczestników zmowy parobkom itd. itd.

Wzorem do naśladowania zwłaszcza dla antysemitów, jest ów obywatel z powiatu staro-konstantynowskiego, który rozgniewawszy się na żyda, oddawna już mieszkającego w wiosce, podmówił włościan, żeby ci podpisali uchwałę o wydaleniu Pejsacha z ich gminy. Uchwała odpowiednio posmarowana szybko przebiegła przez wszystkie instancye, szkodliwy żyd został wydalony i zrujnowany, bo za bezcen sprzedać musiał całe swe mienie. Teraz jednak chłopi w nowej uchwale naiwnie wyznają, że „wojrzawszy w głąb sumienia" a także przekonawszy się, że obywatel ich oszukał i *obietnicy nie spełnił*, żałują, iż wydalili żyda, który nic im złego nie zrobił, owszem pożyczył bez procentu 1,000 rs. na odnowienie cerkwi i proszą, ażeby wygnańca tego powrócić. Wypadek ten powinien przekonać obrońców postanowień włościańskich o wydalaniu żydów, że i *vox populi* często się myli i fałszuje, zwłaszcza jeżeli odpowiednią intonacyę wskazuje mu batuta „światłych kierowników z grona inteligencyi ziemiańskiej."

Z Kalisza donoszą, że wskutek powiększenia straży granicznej kontrabanda ustaje. Czyż-by? Mnie się jednak zdaje, że nie abdykuje ona, *seulement elle se recueille*, jak powiedział kiedyś o Rosyi książe Gorczakow, ażeby wystąpić w stosownej chwili ze zdwojoną siłą.

W Telszach na posiedzeniu rady miejskiej stał się dziwny wypadek. Opis tego zajścia pisma nasze powtarzają według *Wileńskiego Wiestnika*. Rzecz tak się miała:

Na posiedzeniu miejscowej komisyi poborowej przybył zastępca głowy miasta, p. Szymkiewicz, w łańcuchu ze znakiem urzędu. Sprawnik zauważył, że na tym znaku zamiast herbu miasta Telsz wyryty jest jakiś wizerunek katolicki, zapytał więc, co to znaczy. Wtedy marszałek szlachty, książę Ogiński oświadczył, że będąc poprzednio głową miasta zamówił pieczęć i znaki z owym podejrzanym wizerunkiem.

— Wybacz pan — rzekł sprawnik, ale przecież na zasadzie ustawy miejskiej na pieczęci i znakach powinien być herb miasta.

— Nie inaczej — odparł książę.

— A herb miasta Telsz jest przecież inny. W górnej połowie powinien być wyryty herb gubernii a na dolnej berło Merkurego jako symbol handlu. Tymczasem zaś kazałeś pan wyryć jakiegoś biskupa a zamiast berła Merkurego klęczącego żmudzina?

— Zaraz to wyjaśnię. Herb rosyjski rzeczywiście jest inny. Ja jednak, zamawiając znaki dla zarządu miejskiego, miałem na myśli herb polski miasta Telsz, nadany mu przez króla Stanisława Augusta w 1791 r. Na tym herbie wyryty jest św. Stanisław, biskup krakowski i patron polski.

— Przepraszam — rzekł sprawnik — przecież tu nie Polska, tylko Rosya. Cóż nas obchodzą przywileje wydane przez króla Stanisława? Za króla Grocha (car Goroch — król Ćwieczek) może w herbie były grochowiny. Czy dla tego będziemy zamawiali herb z grochowinami.

„Tu wszczął się popłoch" — lakonicznie dodaje korespondent, co zapewne świadczy, że relacya jego o całem zajściu nie jest zupełną i pomija jeden przynajmniej, bardzo prawdopodobny jego moment. Ale jak tam w końcu było — to było, faktem jest wszakże, iż głowa i członkowie zarządu pozostali bez znaków i nie mogą obecnie pełnić czynności urzędowych.

Oby jednak to zajście skończyło się tak humorystycznie, jak sprawa pewnego uczonego profesora, który przyjechał na letnie mieszkanie do Winnicy i o przygodzie swojej opowiada w *Zari*. Szanowny pedagog, przechadzając się nad brzegiem Bohu, zauważył, że policya z rozkazu sprawnika zbyt energicznie karze kąpiących się w zabronionem miejscu, wrzuca bowiem ubranie ich w wodę; zwrócił się więc do zbyt gorliwych stróżów porządku z upomnieniem, że nie należy tak postępować. W parę dni później uczony mąż odbiera wizytę oficera policyi, który podaje mu reskrypt tej treści: „Ponieważ do wiadomości władzy doszło, że miewasz pan dla ludu na ulicy bezpłatne *wykłady astronomii*, masz więc pan podpisać zobowiązanie, że w przyszłości nie będziesz tego czynił, w przeciwnym zaś razie wydalony zostaniesz z miasta." Spokojnego ducha profesor zobowiązanie podpisał, ale za nic w świecie przypomnieć sobie nie może, gdzie i kiedy miał publiczny wykład astronomii. Bądź co bądź groźny reskrypt przyprowadził go do porządku, oszołomił go bowiem zupełnie. Jest to lekcya „astronomii społeczne..."

J. Nieborski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 6 sierpnia.

Nareszcie wiadomość o śmierci Mahdiego, tym razem zdaje się już naprawdę, została stwierdzoną. Dzienniki zamieszczają jego nekrolog i charakterystykę działalności. Bo właśnie w lipcu upłynęło cztery lata od tej chwili, kiedy w Sudanie zjawił się nieznany prorok, pod którego sztandarem stanęło niewielkie plemię Bakhara i od dnia tego, aż do śmierci życie jego było szeregiem świetnych a niespodziewanych tryumfów. Na szczęcie powodzenia, wpośród przygotowań do wielkiej wyprawy wojennej sprzymierzona z anglikami czarna ospa sprzątnęła szczęśliwego wodza. Przed śmiercią mianował on następcą bratanka swego Abdullaha, ale podobno pomiędzy dowódcami powstały już niesnaski i walki. Jest to bardzo pomyślny wypadek dla gabinetu Salisbury'ego, zwłaszcza, jeżeli również wiarogodną okaże się nowa pogłoska, że i towarzysz Mahdiego groźny Osman Digma także zakończył życie.

Gdyby wiadomość ta sprawdziła się, zapewne niepotrzeba byłoby wysyłać odsieczy oblężonej Kassali, o którą teraz kłopocą się anglicy, namawiając po kolei abisyńczyków i włochów, aby swojemi rękami wyciągnęli dla nich ten gorący kasztan. W ostatnich dziennikach znajdujemy doniesienie, że rząd włoski przygotowuje rzeczywiście nową wyprawę do Afryki. Wygląda to dosyć dziwnie po niedawnych rozprawach w parlamencie, dotyczących polityki kolonialnej, w których okazało się, że te awanturnicze przedsięwzięcia nie znajdują wielu zwolenników ani w Izbie, ani w narodzie.

Dotkliwe razy odbierała także polityka kolonialna we francuskiej Izbie deputowanych, gdzie bronił jej Ferry, właściwy inicyator i wymowny rzecznik podbojów zamorskich. Powodem do namiętnej utarczki parlamentarnej, która o mało nie przeszła w bójkę pomiędzy oportunistą Langlois i radykalistą Clovis Hugues'em, był wniosek rządu o przyznanie kredytu w sumie 12 milionów franków na wyprawę do Madagaskaru. Polityka kolonialna jest dla radykalistów orężem wyborczym, którego ostrze starają się skierować w piersi przeciwników. Ferry uchwycił również za tę broń i starał się przekonać izbę, że to jest oręż cywilizacyi, i że honor i pomyślność Francyi wymagają mordowania anamitów, hovasów i innych ras niższych. Odpowiadał mu Clemenceau namiętnie, ale zarazem zręcznie wyzyskując słabe punkty mowy b. ministra: jak np. wspomniana teorya wyższości ras, której prawowici republikanie nie uznają, ponieważ sprzeciwia się t. z. zasadom 1789 r. Podczas tych przemówień zwolennicy obu deputowanych wyprawiali hałasy, w czem gorliwie pomagali im bonapartyści. Ostatecznie wniosek rządu przyjęto.

W Anamie niby to przywrócono porządek (i Rzeczpospolita używa już tego wyrażenia), ale generał Courcy donosi, że obawia się nowych rozruchów. Pocieszającą jest natomiast dla francuzów wiadomość, iż sławny wódz t. z. czarnych flag Liu-Winh-Fuok, który niejednokrotnie dał im się we znaki, cofnął się z bandami swemi na terytoryum chińskie.

W sprawie afgańskiej nie zaszło nic nowego. Lord Salisbury oświadczył nawet

na jakimś bankiecie, że porozumienie Rosyi i Anglii jest zapewnione. Wyjazd p. Giersa do wód świadczy, że układy rzeczywiście odroczono do jesieni.

Poseł niemiecki w Londynie hr. Munster został przeznaczony do Paryża na miejsce hr. Hohenlohe, ale, jak powiadają nie chce przyjąć tej posady i żąda dymisyi. Następcą jego przy dworze angielkim będzie hr. Hatzfeld.

Dla śledzących przebieg walki kościelnej w Niemczech ciekawą będzie wiadomość, że oporny arcybiskup koloński Melchers został mianowany kardynałem i zrzekł się arcybiskupstwa, na miejsce zaś jego przeznaczony biskup warmiński Krementz. Idzie więc teraz jeszcze tylko o obsadzenie arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, tutaj wszakże porozumienie jest trudniejszem.

Zakaz odbywania pielgrzymek do Welehradu odwołano, bo mniemana „epidemia“ ustała. Namiestnictwo lwowskie poleca jednak starostom, aby wszelkimi środkami wpływali na nauczycieli ludowych, prośbą i groźbą odwodząc ich od zamierzonej podróży.

Jednocześnie z ustaniem niby-epidemii w Welehradzie, prawdziwa zjawiła się w Marsylii. Zrazu dzienniki nazwały ją podejrzaną chorobą, teraz już przyznają, że to cholera. Rządy państw sąsiadujących z Francyą nakazały przedsięwzięcie różnych ostrożności sanitarnych.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Peterburskija Wiedomosti zamieszczają drugi artykuł p. t. *Wśród polaków*, streszczający zwierzenia „jednego z weteranów polskiego stronnictwa konserwatywnego,“ bardzo wpływowego członka t. z. partyi „białych,“ jak go nazywa autor. Wybitny konserwatysta tak opowiada, zaczynając od wypadków 1830 r.

— „Byłem wtedy jeszcze gimnazistą, ale byłem już w wyższej klasie, i stąd epokę tę dobrze pamiętam. Pamiętam warunki życia naszego przed rewolucyą i pamiętam bezpośrednie jej następstwa. Jakaż to była olbrzymia omyłka! Ileśmy przez nią stracili! Potępiają nasze powstanie z r. 1863 i jemu przypisują wszystkie klęski obecne; zgadzam się, że był to wybuch najnieszczęśliwszy; ale rewolucya z r. 1830 była o wiele zgubniejsza i pozbawiła nas daleko więcej rzeczy, aniżeli powstanie z roku 1863. Przed powstaniem listopadowem byliśmy połączeni z Rosyą unią osobistą. Cesarz rosyjski był królem polskim, koronował się w Warszawie polską koroną i szanował odrębność naszą polityczną i nasze instytucye i urządzenia narodowe. Wszystko poszło w niwecz w skutek katastrofy wywołanej przez młokosów ze szkoły podchorążych i uniwersytetu. Obecnie ukazały się pamiętniki dwóch ludzi z owej epoki, i wynurzenia ich całkiem są zgodne z tem, co mówię. Ani jedna klasa narodu nie myślała o rewolucyi; nikt, z wyjątkiem podchorążych i studentów, do niej się nie sposobił, nikt jej nie wyglądał, że zaś potem tak szerokie przybrała rozmiary, to zawdzięczać należy chwiejności Wielkiego Księcia Namiestnika i zagranicznej agitacyi. Ah! te agitacye zagraniczne! Kiedykolwiek historya, przed którą nic się nie ukryje, wyjaśni rolę tych obcych „przyjaznych“ dłoni we wszystkich zawikłaniach stosunków polsko-rosyjskich...

Po stłumieniu rewolucyi przez hr. Paskiewicza, zapanowała w kraju cisza grobowa, w Warszawie i po miastach prowincyonalnych ani sposób było dostrzedz jakichkolwiek objawów życia publicznego, na wsi obywatel żył jak pan udzielny, rządząc gminą wiejską i myśląc jedynie o polowaniu, kartach albo czytaniu romansów francuskich. Myśl usnęła, dążenia do jakiejkolwiek działalności obywatelskiej ani śladu, i ten okres zupełnego zacisza ciągnie się około lat piętnastu. Około r. 1855, w skutek inicyatywy byłego profesora instytutu rolniczego, obywatela Garbińskiego, organizuje się małe kółko szlacheckie, w celu wydawaniu *Roczników gospodarstwa krajowego*, aby dać tym sposobem początek organicznej, konserwatywnej a pokojowej pracy na polu publicznem. Chciej pan zwrócić uwagę na ten program, który młodsze pokolenie przywłaszczyło sobie po r. 1863, podając go za coś nowego, kiedy to było tylko wznowienie rzeczy starej, wskrzeszenie zasady, którą myśmy pierwsi podnieśli i my najpierw rozwijać ją poczęliśmy.

W redakcyjnem kółku *Roczników*, do którego przystąpili niebawem dwaj wydatni obywatele: hr. Andrzej Zamoyski i hr. Tomasz Potocki, zasada ta została całkiem dokładnie określona, i wszyscy staliśmy na gruncie bezwarunkowego trzymania się zdala od wszelkiej agitacyi, od wszelkiej buńczuczności i politykomanii, w najzupełniejszem będąc porozumieniu między sobą co do programu, który polegał na trosce o podniesienie dobrobytu wszystkich sfer społecznych, o religijno-obyczajowe wychowanie ludu i jego umysłowe wykształcenie. W pierwszym roku istnienia *Roczników*, wpływ nasz był tak maluczki, że wydanie rozchodziło się zaledwie w liczbie 80-ciu egzemplarzy—tak dalece apatycznie było usposobione ówczesne społeczeństwo nasze; powoli jednak, koło czytelników naszych i ludzi jednakowo z nami myślących, periodycznie zbierających się u hr. Zamoyskiego w Klemensowie poczęło wzrastać; program nasz doszedł też do emigracyi polskiej w Paryżu, i Mierosławski, dążeniom którego był on wręcz przeciwny, począł przeciw nam agitować. Demagogiczna emigracya ochrzciła nas nazwą *białych*, i zaczęła szydzić z nas w swoich dziennikach, odezwach i mowach, podwoiwszy zwłaszcza agitacyę z chwilą, kiedy na przedstawienie namiestnika ks. Gorczakowa, rząd pozwolił nam zawiązać Towarzystwo rolnicze, do którego zaraz w drugim roku istnienia przystąpiła cała inteligencya ziemska. W r. 1858 odbyło się otwarcie Towarzystwa, a na początku 1859 liczyło ono już 4,000 członków, ożywionych tąż samą jedyną myślą—pracy spokojnej, wolnej od wszelkiego rewolucyonizmu. I w tymże roku 1859 Mierosławski wygłosił publicznie w Paryżu mowę do młodzieży polskiej, potępiając nas i nasz program sto razy silniej, aniżeli dziś tromtadrackie pisma lwowskie potępiają konserwatystów krakowskich. „Biali“ potępieni zostali przez Mierosławskiego jako zdrajcy, przeniewiercy, renegaci itd. i w imię świętej sprawy ojczyzny wzywał mówca młodzież do oporu, do walki z naszymi ideałami i z naszą robotą. Pamiętam jakby dziś pierwsze posiedzenie naszego Towarzystwa po owej mowie. Byliśmy wszyscy posępni, jakbyśmy przeczuwali. że ta mowa to goniec burzy, i że tej burzy ani zapobiedz, ani zażegnać nie będziemy w stanie... Tak ciężkie usposobienie nie przeszkodziło nam wszelako gorliwie zająć się kwestyą włościańską, jak tylko rząd upoważnił Towarzystwo nasze do przeprowadzenia nad nią dyskusyi.“

SPUŚCIZNA LITERACKA W. HUGO.

Przyjaciele zmarłego poety ogłosili jego ostatnią wolę co do pozostałych rękopisów. Brzmi ona tak:

„Chcę, ażeby po mojej śmierci wszystkie moje rękopisy niepublikowane, wraz z ich kopiami. jeżeli te istnieją, i wszystkie rzeczy pisane moją ręką, jakie pozostawię, bez względu na to, jakiejby były natury,—chcę, powtarzam, żeby wszystkie moje rękopisy, bez wyjątku i jakiegokolwiek bądź są one rozmiaru, zostały zebrane i oddane do rozporządzenia trzem moim przyjaciołom, mianowicie: Pawłowi Meurice, Augustowi Vacquerie i Ernestowi Lefèvre.

Tym trzem przyjaciołom daję pełnomocnictwo do działania w wypełnieniu mojej woli.

Wkładam na nich obowiązek wydania moich rękopisów w sposób następujący:

Rękopisy te mogą być rozdzielone na trzy kategorye:

Najprzód, dzieła zupełnie skończone;

Powtóre, dzieła rozpoczęte, skończone w części, ale nie wykończone;

Po trzecie: szkice, urywki, myśli oderwane, wierszem lub prozą, rozproszone tu i owdzie, bądź to w moich książeczkach notatkowych, bądź na kartkach luźnych.

Proszę moich trzech przyjaciół, albo jednego, wybranego przez nich, aby je rozsortował jak najstaranniej i tak, jakbym to ja sam zrobił, według tego, jak znają mój sposób myślenia i z całą przyjaźnią, której tyle dali mi dowodów.

Proszę ich, aby wydali, w odstępach czasu między jedną a drugą publikacyą, jakie uznają za stosowne:

Najprzód dzieła skończone;

Następnie dzieła rozpoczęte i w części ukończone;

Wreszcie ułamki i myśli oderwane.

Ta ostatnia kategorya dzieł, wiążąca się z całością moich idej, chociaż bez widocznego węzła, utworzy, jak sądzę, kilka tomów i ogłoszona zostanie pod tytułem *Ocean*. Wszystko to prawie pisane było na wygnaniu. Oddaję morzu, co wziąłem od niego.

Na pokrycie kosztów wydania tej całości wydzielona zostanie z mojej spuścizny suma *sto tysięcy franków*.

Pp. Paweł Meurice, August Vacquerie i Ernest Lefèvre, po opłaceniu kosztów, otrzymają, do podziału między siebie, w stosunku do pracy dokonanej przez każdego z nich:

Z dzieł pierwszej kategoryi *piętnaście od sta* czystego zysku.

Z dzieł drugiej kategoryi *dwadzieścia pięć od sta* czystego zysku.

Z trzeciej kategoryi, która będzie potrzebowała przypisków, może wstępów, dużo czasu i pracy, *pięćdziesiąt od sta* czystego zysku.

Niezależnie od tego, w razie gdyby uznano za stosowne ogłosić moje listy po mojej śmierci osobno, proszę moich przyjaciół o zajęcie się tą publikacyą, w myśl zasady, że listy są własnością nie tego, kto je odbierał, ale tego, kto je pisał. Wysortują oni moje listy i osądzą, o ile ogłoszenie ich będzie stosownem i na czasie.

Z czystego zysku, osiągniętego z wydania listów, otrzymają *pięćdziesiąt od sta*.

Dziękuję im z głębi serca za podjęcie tych wszystkich trudów.

W razie śmierci jednego z nich, wybiorą, gdyby się tego okazała potrzeba, w jego miejsce trzecią osobę, posiadającą ich zaufanie.

Taka jest wyraźna moja wola co do publikacyi wszystkich rękopisów nie wydanych, jakiekolwiek zostawię po mojej śmierci.

Polecam, żeby te rękopisy były natychmiast oddane pp. Pawłowi Meurice, Augustowi Vacquerie i Ernestowi Lefèvre, aby wykonali moją wolę, jakby ją byli wykonali moi synowie ukochani, z którymi połączę się niebawem.

Spisałem własnoręcznie, zdrów na ciele i umyśle, dziś, dwudziestego trzeciego września tysiąc ośmset siedemdziesiątego piątego roku, w Paryżu.

Wiktor Hugo.“

Owi trzej przyjaciele oświadczyli w dziennikach, że zrzekają się zastrzeżonego im zarobku, przeznaczając go na powiększenie funduszu pomnikowego.

W październiku ma już wyjść pierwszy tom z tej spuścizny, zawierający pięć dramatów. W tomie drugim ma być pomieszczony utwór *Les années fauestes.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Z teatru. Debiuty tegoroczne różowo usposobiły krytykę, która aspirantom do sceny nie szczędzi pochwał. Rozpoczął je p. Sobiesław artysta sceny kra-

kowskiej, który w komedyi *Sprzymierzeńcy* popisał się grą miłą, wytworną i gładką. P. S. zaliczony został do personelu naszego dramatu. Panna Noiret uczennica Rapackiego wystąpiła jako aspirantka do ról dramatycznych, mając za sobą piękną postawę, twarz wyrazistą i sceniczną, głos dźwięczny kontraltowy lubo niedość giętki—wreszcie widoczne zdolności i werwę sceniczną. W dramatach *Dwa światy* i *Miłość ubogiego młodzieńca* przedstawiła się korzystnie jako materyał na aktorkę poważną. P. Chmieliński uczeń p. Kotarbińskiego zagrał bardzo dobrze rolę główną w dramacie *Hans Jurga*, okazując warunki i zdolności do ról charakterystycznych, przyjęty z jednomyślnemi pochwałami przez krytykę. Równie szczęśliwym był p. Popławski, jako Morin w *Robotnikach*—gdyż pomimo świetnych wspomnień gry Królikowskiego umiał być oryginalnym, zająć słuchaczy naturalnością i ogniem. Artysta ten na scenach prowincyonalnych już zdobył sobie dobre imię.

Z teatrzyków. Trupa p. Teksla w Belle-vue przedstawiła trzech aktową komedyę p. Przybylskiego *Wyprawy kąpielowe po...* Sztuka niedość wyjaśnia, co autor rozumiał przez te kropki, ale nosi na sobie ślady wyraźnych scenicznych zdolności. Pomimo nikłej treści, sceny ruchu kąpielowych gości i cały obraz życia towarzyskiego nakreślone są z werwą i typową charakterystyką. Grano komedyę bardzo starannie.

W teatrzyku „Nowy-Świat" przedstawiono krzykliwą i jaskrawą *bombę* p. Darowskiego: *Król dziadów*, przerobioną z powieści Dzierzkowskiego. Jest to łatanina tanich efektów, które podobają się jednak publiczności niedzielnej. Utwór napisany bez śladu lepszych zdolności—zdobi go tylko śliczna muzyka Wrońskiego pełna melodyi i narodowego charakteru.

Insynuacya. *Gazeta warszawska*, donosząc o jednodniówce *Dla pogorzelców*, wylicza wszystkich autorów, których utwory znajdują się w tem wydawnictwie, dla tego ażeby wyśledzić; „kto pospieszył ze swoją drobną daniną dla nieszczęśliwych, a komu było mniej pilno." Zaznaczamy tę amatorską próbę czytania cudzych myśli, na podstawie której „znawca naszych stosunków mógłby ciekawy ułożyć traktat..." o moralnej wartości redaktorów *Gazety warszawskiej*. Ze sprawozdania zamieszczonego w tem piśmie dowiadujemy się również, że najznakomitszym żyjącym poetą polskim jest... Asnyk, Ujejski, Zaleski? Nie—p. Felicyan Faleński! szkoda jeszcze, że nie p. Korotyński.

Oszczędność. Z powodu zmniejszenia dochodów kolei warszawsko-wiedeńskiej zaprowadzone będą oszczędności w wydatkach, które rozumie się, postanowiono zacząć od robotników.

Kasy wkładowo-pożyczkowe. Z początkiem r. b. znajdowało się w gubernii lubelskiej 150 kas wkładowo-pożyczkowych, po jednej lub więcej we wszystkich 143 gminach. Suma kapitału obrotowego wynosiła 547,788 rubli, w tem więcej niż połowa wkładów.

Kradzież. Z wystawy Towarzystwa Z. S. P. skradziono obrazek Cichockiego *Pensyonarki*.

Więzienia w gubernii warszawskiej posiadały w ciągu 1884 r. 6,583 lokatorów, a w tej liczbie 4,925 czyli około 75% nie umiejących czytać. Powtórnie karanych było 2,064 tj. przeszło 30%.

Prośba. Dziennikarze i literaci niemieccy zamierzają podobno podać zbiorową prośbę o pozwolenie Kraszewskiemu odbywać karę w więzieniu w Kiel, gdzie klimat morski wpłynął by korzystnie na jego zdrowie. *Kuryer poranny* z Kiel zrobił Kolonię, ale pozostawił jej „klimat morski."

Kupony płatne nieraz za kilka lat dopiero znajdowały się wciąż w obiegu. Obecnie wydane zostało prawo, karzące surowo urzędników i bankierów, którzy odcinają niepłatne jeszcze kupony. Zakaz ten nie powstrzyma jednak nadużycia, którego dopuszczają się zwykle fabrykanci, płacąc takimi kuponami robotnikom. Jest to dla nich zysk wielki bo realizują sobie z góry za lat kilka procent, robotnicy zaś przy wymianie tracą, ale kupony przyjmować muszą.

Pall-Mall-Gazette wydała głośne artykuły o handlu dziewczętami w osobnej odbitce, pierwszego dnia zaraz rozeszło się 400,000 egzemplarzy tej broszury.

Kara. Uczeń politechniki lwowskiej Stwiertnia, za mowę wygłoszoną na pogrzebie Żukowicza skazany został na miesiąc aresztu, drugi oskarżony student prawa Żółkiewski - uwolniony od odpowiedzialności.

Zapis. Zmarły we Frankfurcie bankier Hiller, o zajściach na pogrzebie którego pisaliśmy, przeznaczył w testamencie cały swój majątek na rzecz propagandy socyalistycznej. Zapis ten jednak, podobno ma być unieważniony.

Bibliografia. G. Manitius, *Krótki rys historyi kościelnej*, podług dzieła J. K. Kurtza. Warszawa.

Statystyka. Przyrost ludności w gubernii lubelskiej przez lat 10 (od 1874 do 1884 r.) wynosi 22%. Ogólna ludność gubernii—903,662 osób, w tej liczbie 63,7% katolików, 19,8% prawosławnych, 14% żydów i 2,5% ewangelików. Przed 10 laty katolików było 66%, unitów 18,7, żydów 13,6, i ewangelików 1,7. Okazuje się więc, że stosunek katolików do mieszkańców innych wyznań uległ zmianie.

Zmarli. Dr. Michał Gnoiński, b. prezydent Lwowa, poseł na sejm krajowy.

— Herman Fehling, znany chemik niemiecki.

— Rozalia Castro, poetka hiszpańska bardzo popularna w swej ojczyźnie, chociaż mało znana zagranicą.

— Stanisław Szafarkiewicz, redaktor *Inżynieryi i Budownictwa*.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. J. K. w Pradze. Doszły. Dzięki. Wysyłamy.

P. W. Gl. w Hołowaniewsku. Wszystkie pisma dla Pana zaprenumerowane zaraz po odebraniu pieniędzy. M. B. mieszka w Warszawie.

Stałej prenum. Z. Musimy naprzód sprowadzić sobie numer tego pisma, którego nie posiadamy. Katalog nasz wyjdzie w jesieni.

OFIARY.

Dla biednych. Dokowska z Niemirowa, kop. 20.

Dla studentek w Petersburgu. Górska ze Zmijewa, rs. 1.

Na kasę Mianowskiego. J. K. rs. 15, W. Łopuszyński, rs. 2 kop. 6.

Na pogorzelców Grodna. W. Glinka, kop. 50, M. Zieliński, rs. 2, Górska rs. 3, Czapski rs. 1—ze Żmijewa.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Іюля 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.